NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. – 4 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. – 8 Mrk. 3 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. – 16 Mrk. – 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA, KRAKÓW, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura Ungra w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop.

Rok III. Kraków, 13 Stycznia 1906 r. Nr. 2.

Ze strejku kolejowego w Warszawie.

(Treść na stronie 2).



Ze strejku kolejowego w Warszawie.

(Do illustracyi tytułowej).

Najstraszniejszą dla rządu rosyjskiego bronią w rękach rewolucyonistów były, jak to już kilkakrotnie na tem miejscu zaznaczyliśmy, strejki kolejowe, powodujące nietylko stagnacyę życia ekonomicznego wewnątrz państwa, ale odcinające Rosyę zupełnie od styczności ze światem. Kolejarze Królestwa polskiego nie pozostali w tyle za swymi kolegami w Rosyi. Ilekroć zachodziła potrzeba solidaryzacyi z walczącym proletaryatem rosyjskim, kolejarze z Królestwa zawsze pomocną podawali im rękę.

Hasło do trejków kolejowych wychodziło z ogniska ruchu rewolucyjnego w Królestwie, z Warszawy. Kolejarze warszawscy pierwsi zawieszali pracę, a w ślad za nimi szły wszystkie stacye, na rozmaitych liniach kolejowych rozsiane.

A trzeba zważyć, że niebezpieczną było rzeczą danie takiego hasła w Warszawie właśnie, na którą rząd rosyjski szczególniejszą zwracał uwagę. W Warszawie bowiem nagromadził rząd mnóstwo wojska, które miało czuwać nad porządkiem i spokojem i nie dozwolić, aby właśnie Warszawa stawała się przykładem, aby z niej szły nielojalne hasła, które siłą rzeczy głośnem się musiały odbić echem w Królestwie.

Dworce warszawskie obsadzone były bardzo silnie wojskiem, kozakami, którzy mieli zdusić w zarodku każdą myśl powstrzymania ruchu kolejowego. Podczas ostatniego strejku kolejowego przyszło nawet na dworcu kolei wiedeńskiej do formalnej walki kolejarzy z kozakami. Hasło do strejku już było dane, pociągi właściwie już przestały kursować, kiedy z Warszawy miał odejść pociąg kuryerski do Granicy. Kozacy zatrzymali przemocą maszynistę na maszynie i prośbą i groźbą starali się go nakłonić do ruszenia. Maszynista został na swojem stanowisku, ale nie tknął ręką korby, aby lokomotywę puścić w ruch. — Pospieszyli mu z pomocą konduktorzy i zgromadzeni na peronie kolejarze, rzucili się więc ku lokomotywie, aby ją odczepić od pociągu, przesunąć i w ten sposób uniemożliwić podjęcie ruchu. Na to nadbiegli żandarmi i zapomocą szabel, rąbiąc i tnąc naokoło, chcieli im przeszkodzić w wykonaniu zamiaru. Wywiązała się między kolejarzami a żandarmami ostra utarczka. Ostatecznie jednak żandarmi byli górą. Usiłowania kolejarzy spełzły na niczem, i pociąg ruszył ku Granicy.

Illustracya, zamieszczona na tytułowej stronie dzisiejszego numeru, przedstawia walkę kolejarzy z żandarmami, toczącą się obok lokomotywy.



Nowy poseł chiński w Berlinie: Yang Tcheng, nowomianowany poseł chiński na dworze berlińskim.

Nowy poseł chiński w Berlinie.

Wiadomo powszechnie, jakich sił dokładają Niemcy, aby co do handlu nietylko dorównać Anglii, ale ją nawet przewyższyć. W ostatnich czasach szczególną uwagę zwrócili oni na handel z Chinami, które chcą zrobić wyłącznie niemieckim rynkiem. Rząd chiński wie o tem doskonale i znając Niemców, ma się na baczności przed nimi. Dlatego to stanowisko posła chińskiego, jako przedstawiciela rządu „państwa środka“ w Berlinie, oddają Chiny specyalnie uzdolnionym dyplomatom, którzy mają wszelkie zakusy Niemców zbadać zawczasu i należycie praw chińskich bronić.

Obecnie posłem chińskim w Berlinie mianowany został po ustąpieniu Yangchenga dotychczasowy nadzwyczajny poseł i pełnomocny minister rządu chińskiego na dworze wiedeńskim, Yang Tcheng. Nowy poseł, liczący obecnie lat 36, nie zawiedzie z pewnością zaufania, jakie ma do niego rząd chiński. Osobistość to bardzo sympatyczna. Yang-Tcheng włada doskonale językiem niemieckim, przed kilku laty wydał nawet niemiecką gramatykę dla chińczyków, zna język francuski i angielski, a osobistemi zaletami umie sobie jednać powszechny szacunek.

W roku 1878 udał się Yang Tcheng [illegible]



krwawych dni w Moskwie: Walka rewolucyonistów z wojskiem na wielkiej barykadzie obok bramy Tryumfalnej na ulicy Twerskiej.

z bratem Yang-su, podówczas sekretarzem poselstwa, obecnie posłem chińskim w Tokio, do Japonii, gdzie się przez sześć lat kształcił. Powróciwszy do ojczyzny, studyował jeszcze czas jakiś w Tungwenkwan. Złożywszy egzamina, wyjechał w roku 1892 do Pekinu, gdzie uczył się prawa międzynarodowego u profesora Martina, a matematyki u prof. Russela. Po zdaniu kilkunastu egzaminów został w roku 1896 attachem przy poselstwie chińskiem w Berlinie. Rok 1900 zastał go znowu w Pekinie. Właśnie wtedy Peking był widownią rewolucyi, Yang Tcheng zdołał jednak szczęśliwie zbiedz do Szantungu i wkrótce został mianowany zastępcą gubernatora tej prowincyi.

W uzupełnieniu artykułu podajemy obok fotografię Yang Tchenga.

Z krwawych dni w Moskwie.

Krwawa rewolucya w Moskwie, trwająca blisko tydzień, była w ogólnym ruchu rewolucyjnym w Rosyi momentem najbardziej decydującym. Sfery rewolucyjne spodziewały się po Moskwie bardzo dużo; liczono powszechnie na to, że prawdziwa rewolucya, do której hasło daje najdroższe sercu każdego Rosyanina miasto, musi siłą rzeczy ogarnąć cały naród, a w takim razie, jak sądzono, rząd nareszcie zostanie zwyciężony. Stało się jednak inaczej. Rząd raz jeszcze zatryumfował, ale odniósł Pyrrhusowe zaiste zwycięstwo. Kwitnące miasto, ruchliwe, pełne życia, miasto w całej Rosyi może najbogatsze, legło formalnie w gruzach. Najpiękniejsze ulice zostały zupełnie zniszczone, najpiękniejsze budynki runęły, fabryki i zakłady przemysłowe spaliły się od ognia kul armatnich, jakie zatoczono na ulice, wogóle na miejscu dawnej Moskwy, wznoszą się dzisiaj jeno zgliszcza, na których dymią opary krwi tysięcy bezimiennych bohaterów, którzy życie swoje na ołtarzu Wolności złożyli w ofierze.

Rewolucyoniści moskiewscy wytężyli ostatnie siły, aby skutecznie walczyć z wojskiem. Zachodziły tam wypadki, które nawet wśród dzikiego żołdactwa obudzały szacunek i cześć dla uczestników rewolucyi.

Tak np. jednym z najwspanialszych epizodów rewolucyi była walka w fabryce mebli Schmidta. Fabrykę tę ostrzeliwano z kilkunastu armat przez kilka godzin; wkrótce też cały budynek stanął w ogniu. Rewolucyoniści, którzy tam byli ukryci, otoczeni dymem, zalewani ogniem armatnim, przysypywani gruzami walącego się budynku, walczyli do ostatniej chwili, strzelając na otaczające wojsko.

Szalona walka zawrzała również w ostatnim dniu rewolucyi na wielkiej barykadzie na ulicy Twerskiej. Barykadę tę ostrzeliwało również kilka armat, rewolucyoniści bronili się jak lwy, padali trupem jak muchy, ale nie ustępowali. Po wałach z ciał poległych utworzonych, szli do boju coraz nowi, walcząc na śmierć i życie. Krew obluzgała całą ulicę, zaczerwienił się śnieg i zamarzł krwawymi plamami. Ostatecznie zabrakło nowych już obrońców, którzy zasłali barykadę swojemi zwłokami i wojsko stało się panem sytuacyi.

Zaciętość rewolucyonistów pobudzała dzikie żołdactwo, zwłaszcza kozaków, do wściekłości, do szału. Rewolucyonistów chwytano na ulicy i wleczono obok koni, pędzących w galopie, do cyrkułu. Najstraszliwsze okrucieństwa barbarzyńców miały miejsce w mieście, które przecież liczyło się i liczy do miast europejskich.



Z krwawych dni w Moskwie: Kozacy wloką porwanego z barykady rewolucyonistę do cyrkułu.

W uzupełnieniu artykułu zamieszczamy obok trzy illustracye z rewolucyi w Moskwie. Jedna z nich przedstawia walkę rewolucyonistów z wojskiem, obok wielkiej barykady na ulicy Twerskiej, druga barykady na ulicy Sadowej, trzecia zaś haniebny obraz okrucieństwa kozaków, którzy wloką za ręce pojmanego na ulicy rewolucyonistę.



Z krwawych dni w Moskwie: Barykady na ulicy Sadowej, obok słynnej restauracyi, zwanej „Akwaryum“.

BOJOWNICY.

POWIEŚĆ

osnuta na tle ostatnich wypadków w Królestwie Polskiem.

NAPISAŁ

ARTUR GRUSZECKI.

33 (Ciąg dalszy).

— A dziś — dorzuciła Helena — przyniosła towarzyszka wiadomość, że „Wolność" drukuje się zagranicą i wysłano tam szpiclów na poszukiwanie.

— Co mówicie? Naprawdę? — zaśmiał się uradowany — opowiedzcie.

Wysłuchał uważnie i rzekł:

— Zamieścimy wiadomość w następnym numerze, jako nadesłaną nam z zagranicy... wyobrażam sobie minę żandarmów, gdy wyjdzie numer drugi, a w ślad pójdzie „wygawor" satrapy, że są głupcy i niedołęgi.

— Wszystkim poślę, jak pierwszy wysłałem, tylko nie temu domyślnemu — rzekł Żalecki.

— I źle zrobicie — nachmurzył się Sikora — bo zacznie coś miarkować... albo wszystkim albo żadnemu.

— Po co właściwie posyłać — wzruszyła Helena ramionami — uwiadamiamy ich bez potrzeby, dobrowolnie, no i koszt dość znaczny.

— Towarzyszka Helena oszczędza grosz a traci sto — zaśmiał się Żalecki — zważcie, że dajmy na to, was pochwycą z „Wolnością", tłómaczycie się, że przyszła pocztą... no i po śledztwie; rewizya, a ostatecznie uwierzą, bo sami otrzymali tą drogą.

— Ale radzę wam, Buczku, posłać wszystkim, żadnych wyjątków.

— Dobrze, Sikoro... Jakże, uważacie, sprawę towarzyszki Olgi... bo szpiegują ją z prywatnych przyczyn, z partyą niema to nic wspólnego.

— Ale szpiegują... i gazeta jest zbyt poważną i donośną prasą w partyi, ażeby ją narażać. Towarzyszka może nam przesyłać wiadomości, ale na tem koniec.

— I z nikim was nie będę mogła się widzieć? — powiedziała z żalem, mając nietylko gazetę, lecz przedewszystkiem Bolka na myśli.

— Ten wasz szpieg — rzekł Sikora — to hołota wśród innych, wywiedliście go w pole pustą szklanką na waszym stoliku; zanadto was lekceważył, no i pokpił sprawę. W każdym razie można zmylić powtórnie; a jak on wygląda i jak was śledził?

Opowiedziała dokładnie a Sikora, nie przestając składać artykułu:

— Ten był z gatunku „poetów", idzie niby nieprzytomny, błędny, zapatrzony i śledzi z pod oka. To z lepszej rasy, ale i takiego można zbałamucić. Widzieć się z którym z nas możecie, ale nie ryzykujcie drukarni.. chyba... chyba...

— Co? mówicie? — zawołała Olga z żywością.

— A gdzie wy mieszkacie, towarzyszko?

Wymieniła ulicę i numer domu.

— No, to niema biedy — zaśmiał się — znam dobrze tę kamienicę. Jeszcze mój ojciec w powstaniu korzystał z jej tajemnicy i ja dwa razy ratowałem się w potrzebie.

— Cóż tam jest? — spytano z ciekawością i otoczono go kołem.

— Uważacie, towarzyszko... jest tam mały dziedzińczyk u was, z lewej strony od wejścia są przybudówki murowane. Za ostatnią jest wąskie przejście i w murze drzwiczki, one łączą się ze składem sklepiku, który ma front od Koziej. Ten sklepikarz nie należy do naszej partyi, ale my koledzy i przyjaciele. Pomówię z nim... on w składzie uprzątnie towar z przed drzwi, da wam klucz od zatrzasku i raz na dzień, byle nie częściej, możecie wymknąć się z domu i nawet przez ulicę Kozią przyjść do nas... A ten psubrat „poeta" może wyć do księżyca — śmiał się wielce zadowolony.

— Kiedyż dacie mi klucz? Kiedy? — dopytywała się natarczywie Olga.

— Zaraz... nie spieszcie się, bo się zmęczycie. Dla was to zrobię, że jutro pójdę do niego.. pojutrze, w niedzielę on uprzątnie w składzie i klucz będziecie mieli w niedzielę, albo w poniedziałek, tylko wskażcie mi jak doręczyć?

— Jak?... Heleno przynieś mi, i tak przyrzekłam ciotce, że ciebie przedstawię...

— Mnie?... A to co nowego?

— Zaraz odpowiem, ale wpierw porozumiej się z towarzyszem, kiedy i gdzie spotkasz się w niedzielę.

Gdy się już umówili, Helena, składając systematycznie „Wolność", odbitą na maszynie, powiedziała:

— Cóż z tą ciotką?

— Ten żandarm widział sam, albo też ktoś mu powiedział, że szłam z tobą, towarzyszem Stachem i Bolkiem, prawdopodobnie, gdyśmy byli w Królikarni. Naturalnie doniósł o tem ciotce, zgorszyła się, że chodzę w jakiemś towarzystwie nieszczególnem, a ja ratując moją swobodę, objaśniłam ciotkę, że byłam z koleżanką uniwersytecką, przygotowującą się do doktoratu, z jej narzeczonym — skinęła głową Walczakowi — i z jakimś studentem z Rosyi, który jedzie na studya do Berlina — patrzała na uśmiechniętego Bolka — Przyrzekłam też ciotce, że ciebie pozna w tych dniach. Przyjdź do mnie w niedzielę o piątej, dasz mi klucz i ciotka moja będzie miała zaszczyt poznać doktorandkę filozofii Tylko, pamiętaj, w ładnej sukni!

— O, co do tego, uspokój się, Olgo, nie myślę sprawiać sukni dla przyjemności twojej ciotki — zaśmiała się Helena.

— I słusznie mówicie, towarzyszko — powiedział Bolek z powagą — suknie, stroje, błyskotki to przesądy i od wieków gardziły niemi wszystkie Heleny, o ile tylko sięgają moje wiadomości historyczne i naukowe.

— Mylicie się, znam strojnisie — zawołała Helena — noszące moje imię, ale ja nie tracę na stroje pieniędzy z zasady.

— Tak samo postępowały historyczne wasze imienniczki, jesteście bezprzykładnie konserwatywną, bo posłuchajcie:

„Od dworaków opuszczona
Helena w stroju niedbałym,
Gdy męża trzyma u łona
Co go zwano Staszkiem białym".

— Kłamstwo! tam jest syna, nie męża, i nie Staszek, ale Leszek — mówiła zaczerwieniona.

— Uspokójcie się, to nie o was wiersze, to historya przemawia... a dalej:

„Tak szerzy skargi płaczliwe
Na swe losy nieszczęśliwe:
Ty się śmiejesz, Staszku luby,
Bo nie znasz twojej niedoli..."

Nastąpił wybuch ogólnego śmiechu, nawet Helena śmiała się, patrząc z pod oka na Staszka.

— Otóż wiedzcie, Olgo, Helena przyjdzie w „stroju niedbałym"... A wiecie, jakie miałem wyobrażenie o tym stroju, gdy, będąc dzieckiem, uczyłem się tych wierszy?

— Jakież to? — spytała Olga.

— Zdawało mi się, że Helena, nie wy, towarzyszko, jest w długiej, nocnej koszuli... a może i w takim stroju zjawia się nasza towarzyszka... będzie „białą damą"!

— Wam na przekór włożę najpiękniejszą suknię, wymyślę jakąś krawatkę i będę w rękawiczkach.

— Cały posag na sobie, towarzyszko? Czy nie za ciężko wam będzie?

— A wasz majątek wielki? — zadrwiła.

— Mam skarb — spojrzał na Olgę.

— Dosyć, nie mówcie dalej, bo mi przeszkadzacie w pracy — powiedziała Olga.

Wśród chwilowego milczenia odezwał się Sikora:

— Jednak z wami bardzo przyjemnie i wesoło pracować... młodzi jesteście; ani pomyślicie o śmierci a jednak ona czai się tu z każdego kąta.

— Ojcze Sikoro — rzekł Stach — raz zawsze umrzeć trzeba i co do mnie, nie wzywam śmierci, ale też jej się nie boję, a przyjdzie chwila, umrę spokojnie, byle drogo sprzedać życie.

— Słyszałem, towarzyszu, te same słowa od jednego z pierwszej drukarni, nazywał się Walery Gościcki, zabił też dwóch żandarmów, trzeciego zranił i na szubienicy był bez trwogi, nawet był do was podobny, tylko starszy.

— Nie prorokujcie, ojcze Sikoro — zawołała Helena — towarzysz Stach nie może zginąć.

— Ba, gdyby życie ludzkie od miłości zależało, nie zginąłby, ale nienawiść nie zna litości. Zresztą wszystko w naszej robocie zależy od przypadku. Ja dwa razy powinienem wisieć, a teraz trzeci raz, jednak żyję, ale codziennie żegnam żonę i dzieci z tą myślą, że już ich nie zobaczę.

— I nie martwicie się, ojcze, zawodem — zaśniał się Bolek.

— Niech się tem Moskale martwią, nie ja — uśmiechnął się — i wiecie, towarzysze, nasza „Wolność" zrobiła już pierwszym numerem dużo dobrego. Ludzie już miarkują, że godzina zemsty zbliża się. I mówili mi nasi. Kozak, Panna, Płuczka, że za ten tydzień więcej potworzyło się dziesiątek, aniżeli poprzednio za miesiąc. Zaczyna wrzeć... hej, miły Boże, żeby się też doczekać choć okruszyny wolności... umarłby człowiek spokojnie.

— Okruszyny?! — odezwał się Stach — nie znam, ani chcę znać tego wyrazu. Albo wszystko, albo nic i póki tchu, nie godzę się na połowiczne środki, sposoby, cele. Dziś idzie o zwalenie caratu, jutro usuniemy wyzysk fabrykantów, a pojutrze stanie państwo z ustrojem socyalistycznym. To mój program.

— I nasz — dodali inni.

— Ano, od tego młodość wasza, aby leciała w górę... dla mnie wystarczy, gdy przepędzimy Moskali. I spytajcie robotników, nie mówię towarzyszów, spytajcie każdego przechodnia na ulicy, byle był bez munduru, każdy wam powie swe najgorętsze pragnienie: precz z Moskalami! precz z uciskiem Polski! Słyszałem, czytałem, rozmawiałem o ustroju socyalistycznym, wiem o nim, ale wierzcie mi, że gdy dach nad głową się pali, nie liczy właściciel domu przyszłych pięknych urodzajów, ale dach, ale dom ratuje, a urodzaje i tak będą, byle było je gdzie pomieścić.

Jakiś czas pracowali w milczeniu, a Żalecki, który zawsze miał na myśli szpiega, rzekł:

— Słuchajcie, Olgo... tego „poetę" należy wam uśpić... wychodźcie często z domu, a raczej, jak zwykle, wymyślcie sobie różne interesa, sprawunki, spacery, aby nie podejrzywał, że zauważyliście jego obecność...

— Wy innym umiecie dobrze radzić — uśmiechnął się Sikora — ale sami jesteście nieostrożni, a tu idzie nie o jedną towarzyszkę, ale o drukarnię, o gazetę, o powodzenie partyi.

— Cóż mi macie do zarzucenia? — zdziwił się Bolek.

— Zrobiliście to, co wam radził Panna i Kozak?

— Nie jeszcze, bo dopiero od pierwszego lipca będę stróżował.

— Nie zaszkodziłoby zacząć wcześniej, ale to dopiero jedna sprawa, a teraz, zwróćcie też waszą uwagę, że do drukarni wchodzimy jak z wizytą, do znajomego, żadnych ostrożności.

— Cóż radzicie?

— Mamy przecież pomocnika stróża, niech on ma klucz od drukarni i drzwi górnych. Bo zechce rewirowy albo szpieg wleźć do piwnic, podpatrzeć, podsłuchać może każdej chwili. Drzwi górne otwarte, nasze, jedyne drzwi piwniczne bez kłódki, bo reszta zamknięte. Życia nie kupicie drugi raz, i partya poniesie szkodę.

— Wszystko to prawda i zaraz poznać praktyka... lecz dlaczegóż, ojcze Sikoro, nie powiedzieliście mi tego wcześniej?

— Liczyłem na was, na szczęście, ale ten szpieg dzisiejszy dał mi do myślenia, bo złe nie śpi...

— Od jutra zaprowadzamy zmianę — rzekł Bolek — każdy musi się meldować pomocnikowi stróża i w jego ręku klucze a swoją drogą z wewnątrz trzeba zasuwać sztaby, jak zwykle.

Sikora uśmiechał się zadowolony, że usłuchano jego rady i dodał:

— A na wypadek niebezpieczeństwa macie znak umówiony?

— Pamiętałem o tem. Tomasz, pomocnik stróża, rzuci nam wiadomość przez okienko.

— Hm... nieźle, byle go nie schwytano pierwszego, albo żandarm przed bramą nie zauważył ruchu jego, bo jesteśmy straceni.

— Tomasz to sprytny chłop, da sobie radę, a swoją drogą trzeba coś jeszcze obmyśleć, bo przy rewizyi domu, gotowi go nie puścić na ulicę.

— W tem rzecz, aby na wszystko być przygotowanym. A rewolwery?

— Te są zawsze gotowe — wskazał na półeczkę w rogu.

— Wiecie, jak o tem rozmawiacie — powiedziała Helena — zimne dreszcze mnie przechodzą.

— A ja miewam gorące, gdy mnie aresztują — zaśmiał się Sikora.

— Ile razy was aresztowali? — spytała Olga.

— Dotychczas cztery razy.

— I zawsze wykpiliście się?

— Trochę się przesiedziało... i miałem dosyć wolnego czasu, aby przemyśleć to i owo — wyciągnął zegarek — ale już wpół do jedenastej, czas na mnie.

Wkrótce wyszli wszyscy i w pojedynkę wymknęli się z kamienicy.

Nazajutrz pan Sudkiewicz przyszedł chmurny i zły na obiad, skrzyczał zaraz w przedpokoju Jana za niezręczność i nie patrząc na żonę i Olgę, z brwiami zmarszczonemi, wypił przy stole, wbrew zwyczajowi, aż dwa kieliszki wódki, przegryzł kwa-

szonym ogórkiem i czekał w milczeniu na zupę. Panie milczały również, tylko żona patrzała na Olgę od czasu do czasu znacząco, dając jej do zrozumienia na migi, że gniew męża wkrótce minie i żeby nie zwracała na to uwagi.

Jan roznosił zupę rakową, ulubioną Sudkiewicza, a żona zwracała się do Olgi, mrugając oczyma:

— Jedz!... takiej zupy w życiu nie jadłaś... mam przepis od męża... a może chcesz poznać i nauczyć się?

— Bardzo proszę ciocię... istotnie zupa wyborna.

— Otóż uważaj, bierze się najpierw ładne, duże zgotowane raki, obiera się jadalne części, a tymczasem gotuje się rosół na zwykłem mięsie. Gdy rosół odcedzony... nie, źle mówię. Wpierw z łupin raków przygotowuje się zaprażka i wlewa się ze śmietaną...

— Ładna byłaby zupa rakowa — zaśmiał się drwiąco — chwała Bogu, że ty jej nie gotujesz! Tyle razy ci mówiłem, że wpierw wszystkie skorupy, prócz przeznaczonych do nadziania brzuszków, razem ze wszystkiem tłucze się w moździerzu.

— Ależ, Pierre, ja mam przepis twoją ręką pisany w mojem biurku, czytałam kucharce i Oldze dam do przepisania. Na razie nie powtórzyłam dokładnie, bo taką masz minę surową i nieprzystępną, że się zmięszałam i zapomniałam szczegółów.

Każdy mąż lubi i pochlebia mu to, że żona obawia się nietylko jego złego humoru, ale nawet złej miny; mile też przyjął Sudkiewicz to usprawiedliwienie się żony, że przeoczyła szczegół przepisu i westchnąwszy głęboko, rzekł do Jana:

— Podaj mi jeszcze zupy — a następnie zwrócił się do żony — ty nie dziw się, Reno, że jestem zły, bo drugi byłby wściekły, albo i gorzej jeszcze.. Ja czuję, że mnie ta służba zabije...

— Cóż się stało, Pierre?

— Powinnaś się domyśleć, że stało się coś niezwykłego, gdy przychodzę taki do domu... ale co ciebie to obchodzi? czy się spytałaś?

— Bałam się ciebie — szepnęła, a kąciki ust drgały ze śmiechu wewnętrznego.

— Dziś wpadł do nas sam stary... trząsł się z gniewu! Wymyślał nam, jak sołdatom praporszczyk, a może gorzej. Groził Sybirem, katorgą, dymisyą... i to wszystkim.

Żona spoważniała; to naprawdę coś niezwykłego; zainteresowana odłożyła łyżkę i spytała:

— Ależ, Pierre, co się stało?

— Co się stało? — zaśmiał się z goryczą — oto wśród nas, w przybocznej kancelaryi generał-gubernatora jest zdrajca, szpieg, gorzej nawet, jest.. socyalista!

— Ale kto? ale który?

— Ba, żeby wiedzieć — westchnął żałośnie — nie byłoby tych awantur — i założywszy serwetę pod brodę, zaczął jeść zupę, przyniesioną przez Jana.

W przerwach jedzenia opowiadał:

— Ci podli socyaliści spokoju nam nie dają, dawniej zajmowała się nimi tylko żandarmerya i policya... a teraz pozwalają sobie drwić z generał-gubernatora i jego kancelaryi.

— No, no, i cóż zrobili?

— Pamiętasz sprawę o unitach, a teraz, jak przyrzekli, dali znów okólnik w kwestyi „Oświaty".

— Cóż to za „Oświata"?

— Et, głupstwo... plewa, na którą stary myślał złapać polskie wróble. Ale stary uroił sobie, że to pożyteczne i potrzebne, a sekretny rozkaz, aby gubernatorowie popierali to pismo, już wydrukowali socyaliści.

— To nie było jeszcze za co się wściekać — powiedziała z naganą w głosie — i zasłużonych urzędników z błotem mięszać.

— Masz zupełną racyę, Reno, i byłby stary przebolał to ujawnienie dokumentu, ale wyobraź sobie — odłożył łyżkę, serwetę i rzekł uroczyście — w tym samym numerze ogłosili treść depeszy, wysłanej kluczem telegraficznym, rozumiesz, kluczem... tajemnym, znanym tylko generał-gubernatorowi, naczelnikowi kancelaryi, znanemu ci Nikiforowi Aleksandrowiczowi u nas, to jest trzem ludziom, no i dziesięciu gubernatorom... taka zdrada pachnie stryczkiem.

Żona, uspokojona, że nie idzie o stanowisko męża, zaczęła spokojnie rozumować:

— Z tego wynika jasno, że jeden z trzynastu, zresztą wykluczmy generał-gubernatora, zostaje dwunastu, jak apostołów, a więc jeden z dwunastu był Judaszem Iskaryotą i zdradził tajemnicę.

— Źle mówisz, Reno, z tych nikt nie mógł zdradzić, bo każdy rad, że ma takie stanowisko i nie naraża swej karyery bez potrzeby. Tylko jedno przypuszczenie możliwe i to ja poddałem tę myśl: jakimś niewytłómaczonym sposobem doszli socyaliści do posiadania klucza telegraficznego i jakiś urzędniczyna telegraficzny, nędzarz, złakomił się na zielony papierek, a może nawet nie na trzy, ale na rubla i dał socyalistom szyfrowaną depeszę.

— Więc niema także nieszczęścia, zmieni się klucz i wszystko w porządku.

Sudkiewicz, nabierając z półmiska kotlety cielęce, uśmiechnął się ironicznie i rzekł po skosztowaniu sosu, podanego do kotletów:

— Skosztuj-no, Reno... zdaje się, że ten sos szparagowy przydymiony.

— Ależ nie... tylko zaprawa zanadto przyrumieniona.

— Jednak miałem racyę — i jedząc mówił dalej — klucz telegraficzny, musisz wiedzieć, jest dla całego państwa jednaki, bo minister nie mógłby spamiętać jakich setkę kluczów... Teraz stary musi podać raport do ministra, zamieszanie w całem państwie... no, a gdzie dostali ten klucz? u kogo? u naszego starego. Pomyśl, jaki skandal na całą Rosyę!?! I tak wziąwszy po ludzku, można zrozumieć jego pasyę, ale znów tak wymyślać, jak on to zrobił, to nie uchodzi, to za wiele.



Ba, żeby wiedzieć — westchnął żałośnie — nie byłoby tych awantur....

— I na czemże stanęło?

— Ja byłabym zdania — odezwała się Olga — że najprostszą rzeczą zmienić klucz do gubernatorów, a stary niech zostanie dla generał-gubernatora.

— Ach wy, kobiety — zaśmiał się — wy bardzo miłe, piękne, dobre, no, nie do rządzenia, co nie, to nie!

— Któż rządzi domem? — spytała Olga.

— To inna rzecz, a państwo, to inna znów historya. Generał-gubernator niema prawa zmieniać klucza, a jak ministrowi się spodoba zatelegrafować do Piotrkowa, a gubernator, co? Ja wymyśliłem inną rzecz.

— Ty? A to ciekawe! — uśmiechnęła się.

— To nie jest ciekawe, ale prawdziwe — powiedział tonem podrażnionym — jak się stary wysapał, poddałem myśl, niech uda generał-gubernator, że o socyalistach podaje ważną depeszę i roześle, zobaczymy, czy zrozumieją, bo może pierwszym razem odgadli tylko.

— I przyjęto twoją propozycyę?

— Naturalnie... sam stary dziękował.

— Czy i treść podałeś?

— Treść umówiłem tylko ze samym naczelnikiem, nawet Nikifor Aleksandrowicz nie wie.

— I jaka treść?

— O, tego nie mogę ci powiedzieć, to sekret.

— Jakto, mnie? żonie?

— Nie mogę i koniec — a widząc jej niezadowolenie — tylko tyle ci powiem, że idzie o odkrycie socyalistyczne.

— Ach, już wiem — zaśmiała się — pewno o drukarnię chodzi.

Z wyrazu twarzy Sudkiewicza łatwo było poznać, że żona odgadła, ale przybrał surową minę:

— Powiedziałem ci, że to sekret i zostanie sekretem.

— Jeśli nie chcesz powiedzieć, to nie mów; a w jakiem to piśmie wydrukowali?

— Czyż nie mówiłem, że w socyalistycznem. w tej „Wolności"?

— „Wolności"? — zdziwiła się Olga — a rotmistrz Bolcew mówił, że numeru drugiego nie będzie.

— Ale, co on wie? — narzekał Sudkiewicz — on w błąd wprowadził wszystkich, uparł się, że to druk zagraniczny, a mówiono mi, że warszawski i policya jest już na tropie... wczoraj schwytano jednego, który miał aż dziesięć egzemplarzy i to świeżych, mokrych jeszcze, widocznie wziętych z drukarni.

Rozmawiali jeszcze chwilę o tem i owem i Sudkiewicz, jak zwykle, poszedł podrzemać, a panie poszły do swych pokojów.

I tego dnia i w niedzielę, Olga nieustannie była po za domem, zachodziła do sklepów, księgarń... pojechała dorożką do Łazienek i do Sielanki z książką i tam czytała spokojnie.

Widziała, że nieustannie krąży koło niej, przydany jej przez Bolcewa anioł stróż, lecz rozmyślnie nie zwracała na niego uwagi, ażeby on i Bolcew przekonali się rychło, że nic niema do ukrywania, nic do zatajenia przed najsurowszym sądem.

Około piątej godziny w niedzielę, jak było umówione, przyszła Helena, wyświeżona, młoda, uśmiechnięta, w zgrabnej sukience, robiła bardzo korzystne wrażenie. Uwiadomiona przez Olgę, co i jak ma mówić, aby ciotkę dobrze usposobić dla siebie, wywiązała się z tego zadania nadzwyczajnie. Była panną bardzo dystyngowaną, uprzejmą i grzeczną w miarę, a pochwały mieszkania i urządzenia pokojów, potrafiła tak umiarkowanie i trafnie wypowiedzieć, że ucieszona nią Sudkiewiczowa zmusiła ją niemal do pozostania na obiedzie, a po jej wyjściu, rozpływała się w pochwałach.

Tym razem i Sudkiewicz uznał, że ta panna jest „bardzo dobrze" wychowana i wyraził zdziwienie, iż nauka nie przeszkodziła jej zachować dziewiczości wrażeń i uczuć.

Olga z wielkiem zadowoleniem wysłuchała tych pochwał, rachując na to, że ciotka bardzo chętnie pozwoli jej bywać często u Heleny, a od czasu do czasu sięgała ręką do kieszeni, aby się przekonać, czy klucz od zatrzasku, przyniesiony przez Helenę od skrytych drzwi, prowadzących przez sklepik na ulicę Kozią, jest istotnie u niej.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Czarnogóra państwem konstytucyjnem.

Książę Mikołaj Czarnogórski, znany w świecie słowiańskim twórca wspaniałych epopei ludowych, hołdował swego czasu samodzierżawiu i dlatego polityka jego rządów stale zwracała się ku Rosyi. Rosya niejednokrotnie okazała mu się za tę uległość wdzięczną i wspierała go w jego usiłowaniach około podniesienia czarnogórskiej armii, stanowiąc dlań zawsze silnego a życzliwego sprzymierzeńca. Rewolucya, jaka w Rosyi rozgorzała, zmieniła trochę sytuacyę. Odbiła się ona głośnem echem nie tylko na półwyspie bałkańskim, stale zresztą do wulkanu, ma jącego wybuchnąć, podobnym, ale przedarła się nawet do Czarnogórza, przypominając roztropnemu księciu, że teraz lepiej będzie zmienić dotychczasową politykę, wzorowaną na dworze petersburskim, i że lepiej odrazu nadać konstytucyę, aniżeli dopuścić do walki o nią choćby nawet zwycięstwem rządu uwieńczonej. I w ten sposób mały Mikołaj uczynił z dobrej woli to, do czego wielkiego Mikołaja zmuszono. Bezsprzecznie Cetynia okazała się tym razem znacznie bardziej dojrzałą politycznie, aniżeli Petersburg.

W ciekawej mowie tronowej, jaką książę Mikołaj otworzył pierwsze posiedzenie pierwszego czarnogórskiego parlamentu, nazwał on erę autokratycznych rządów w Czarnogórze „cudowną epopeją“. Zaznaczył jednak odrazu, że ustanowił sam inny rząd, wychodząc z tego założenia, iż czasy autokracyi, czasy samodzierżawia, należą już do historyi. „Jedynym środkiem, aby państwu zapewnić bezpieczną drogę do trwałego postępu i rozwoju, jest — mówił książę Mikołaj — nadanie mu konstytucyi, w tym celu, by rządy powierzyć całemu narodowi, który najlepiej zna swoje potrzeby i najlepiej nad nimi radzić będzie. Aby więc zrzucić z siebie ciężar samowładztwa, tak odpowiedzialnego wobec Boga i narodu, nadałem konstytucyę, sam, dobrowolnie. Myśl stworzenia z Czarnogóry państwa konstytucyjnego, nie jest owocem jednej nieprzespanej nocy, ale dzieckiem mojego serca, wykwitem moich osobistych zapatrywań, przedmiotem moich pragnień, odziedziczonych po przodkach, dla których wolność narodu była najświętszem przykazaniem“.

Tak więc małe państewko, zaledwie ćwierć miliona głów liczące, ukryte w górach i wąwozach Czarnogórza, wyprzedziło znacznie potężnego sprzymierzeńca, którego państwo leży dzisiaj w gruzach, zatopione w krwawych potokach rewolucyi, wybuchłej właśnie z tej przyczyny, że nie miało konstytucyi, że aż powstać musiało do walki o nią.

Książę Mikołaj złożył raz jeszcze chlubny dowód swojego politycznego sprytu i doświadczenia, wielkiej szlachetności i prawdziwej dbałości o dobro swego ludu.

* * *

Zamieszczając powyższy artykuł, podajemy obok fotografię panującego księcia Mikołaja Czarnogórskiego.



Czarnogóra państwem konstytucyjnem: Książę - Mikołaj Czarnogórski, który w grudniu dobrowolnie nadał swemu księstwu konstytucyę.

Jeńcy japońscy, powracający z Rosyi do ojczyzny.

Wprawdzie od zawarcia pokoju w Portsmuth minęło już pięć miesięcy, jednak jeńcy japońscy, przebywający w Rosyi, dopiero teraz wysłani zostali z powrotem do ojczyzny. Było to wynikiem najrozmaitszych rokowań między rządem rosyjskim a japońskim, które spowodowały opóźnienie powrotu jeńców do „krainy wschodzącego słońca“. Wpłynął na to również w znacznej części strejk kolejowy, jaki w listopadzie i grudniu szerzył się w całej Rosyi, tak, że nie można było jeńców w żadną stronę wyprawić. Dopiero 16 grudnia wysłano z Eydkun trzy specyalne pociągi, które jeńców wszelkich gatunków broni przewiozły do Berlina, a stamtąd do Hamburga, gdzie wsiedli na dwa okręty, „Cambroman“ i „Vancouver“, które mają ich zawieść do ojczyzny. Jeden z pociągów, mianowicie pociąg sanitarny, wiózł 237 osób, w tem 69 ciężko chorych i rannych. Pięciu jeńców, którzy zachorowali na gruźlicę, zmarło w drodze na terytoryum niemieckiem. Trzej ciężko chorzy zostawieni zostali w szpitalu berlińskim.

Na granicy niemieckiej, w Wirballen, przyjął jeńców imieniem rządu japońskiego attaché wojskowy w Berlinie, nadporucznik Oi oraz konsul japoński z Bremy, Noessler. W Berlinie oczekiwało przybycia pociągów z jeńcami całe poselstwo japońskie, oraz delegacya sztabu generalnego niemieckiego. Dnia 19 grudnia stanęli jeńcy w Hamburgu, gdzie ich owacyjnie przyjmowano. Cały dworzec przepełniony był publicznością, która na cześć jeńców wznosiła niemilknące okrzyki. Wieczór tego dnia odbył się bankiet, urządzony przez posła japońskiego w Berlinie, w którym wzięli udział członkowie Rady miejskiej i kilka wybitnych osobistości.

Japończycy wprawiali Niemców w podziw swoją skromnością, umiarkowaniem w jedzeniu i piciu, wzorową dyscypliną i upr. ejmem, nader taktownem zachowaniem się. Czas, spędzony w niewoli, zużyli na uczenie się języka rosyjskiego i angielskiego. Prawie wszyscy też, z wyjątkiem ciężko chorych, którzy się uczyć nie mogli, władają tymi językami bardzo dobrze. Kilkunastu z nich nauczyło się również wcale dobrze po niemiecku. Ci w czasie krótkich odpoczynków na stacyach skwapliwie rozmawiali z Niemcami, pragnąc się widocznie przekonać, o ile w nauce języka niemieckiego się wyćwiczyli.

Nastrój wśród jeńców był nadzwyczaj poważny, uroczysty. Na twarzach wszystkich malowała się niezmierna radość i nadzieja, że wkrótce już zobaczą dawno nie widziane sady wiśniowe, za którymi przez tyle miesięcy tęsknili. Widać było z ich oczu, nieraz cierpieniem jeszcze przysłonietve, że pragnęliby dostać skrzydeł i poszybować na Wschód, do ukochanej ojczyzny. Z drżeniem w sercu wstępowali wszyscy na pokład mających ich przewieźć okrętów, błagając Stwórcy, by jak najprędzej dał im zobaczyć Japonię.

W uzupełnieniu artykułu zamieszczamy na stronie 9 illustracyę, przedstawiającą jeńców japońskich po przybyciu na dworzec hamburski.



Powrót wojsk rosyjskich z Mandżuryi: Wozy, wyruszające z baraków wojskowych pod Charbinem z żołnierzami, powracającymi do Rosyi.



Najbogatsi ludzie na świecie: John Rockefeller właściciel 4 miliardów, mający 190 milionów koron rocznego dochodu.



Najbogatsi ludzie na świecie: Miss Hetty Green, mająca 12 milionów koron rocznego dochodu.

Najbogatsi ludzie na świecie.

Niema w Europie, a nawet na całej ziemi państwa, któreby mogło się poszczycić tak wielką liczbą ludzi, posiadających kilka milionów majątku, jak Stany Zjednoczone północnej Ameryki. I jeżelibyśmy przyjęli, że miliony są błogosławieństwem dla państwa, że umożliwiają i podtrzymują w niem wielki przemysł, to Stany północne w Ameryce byłyby krajem najbardziej na ziemi błogosławionym. Same bowiem Stany Zjednoczone posiadają 4000 ludzi, mających po kilka milionów rocznego dochodu. Czy jednak te miliony, skupione w ręku kilku jednostek, mają rzeczywiście takie doniosłe dla państwa znaczenie — to jeszcze pytanie.

Jednym z najbogatszych ludzi na świecie, jest milioner amerykański, John Reckefeller; nie cieszy się on jednak w Ameryce zbytnią sympatyą, a nawet jest postacią powszechnie nie lubianą, wyraz zaś niechęci ku niemu odbił się dobitnie na jednem ze zgromadzeń księży wszelkich chrześcijańskich obrządków, odbytem niedawno w Nowym Jorku. Postawiono tam między innemi wniosek, że od człowieka, który jedną ręką kradnie, a drugą daje, nie powinno się przyjmować pieniędzy na cele dobroczynne. Wniosek ten dotyczył specyalnie Rockefellera. Bo Rockefeller rozrzuca pieniądze na cele dobroczynne, ale tylko dlatego, że chce ludziom zasypać oczy piaskiem, jak się to mówi, aby nie krytykowali zanadto jego grabieży. Ale też Rockefeller pomimo wszystko jest człowiekiem, którego roczny dochód — wedle obliczeń statystyków amerykańskich, bo on sam nie wie nawet, ile ma pieniędzy — wynosi rocznie okrągłą sumkę czterech miliardów, które, złożone na cztery procent, przynoszą mu 190 milionów czystego dochodu, czyli, że dziennie ma dochodu 550 tysięcy koron.

Jeżeli nie ulega kwestyi, że Rockefeller jest najbogatszym mężczyzną w Nowym Jorku, to najbogatszą kobietą jest nietylko w Ameryce, ale na całej ziemi, Hetty Green. Nie rozporządza ona wprawdzie, jak Rockefeller miliardami, jest ona tylko skromną milionerką, może jednak się poszczycić, że posiada trzysta milionów dolarów, zdobytych jedynie swoją własną pracą. Miss Green jest zjawiskiem, dobrze znanem na giełdzie nowojorskiej. Dzisiaj już staruszka, 71-letnia, wdowa, pracuje jednak jeszcze ciągle, jakby największą przyjemność znajdowała w pracy nad pomnożeniem swoich milionów, chociaż ma tylko dwoje spadkobierców, syna i córkę. Jest nawet tak skromną, że nie mieszka w Nowym Jorku, gdzie posiada kilka wspaniałych kamienic, ale w małej mieścinie Hoboken, gdzie wynajmuje umeblowany pokoik z obsługą.

* * *

W uzupełnieniu artykułu zamieszczamy w dzisiejszym numerze portrety Rockefellera i Hetty Green.

Propaganda antiwojskowa we Francyi.

Rok ubiegły zapisał się w historyi niezatartemi zgłoskami. Nie było w Europie państwa, któreby w tym roku nie przechodziło doniosłych jakich kryzysów. Nie mówiąc już o Rosyi, dla której rok ten będzie zaczątkiem nowej ery, ery odrodzenia, każde państwo europejskie przechodziło jakiś wewnętrzny przełom. W Austryi rozgorzała walka o reformę wyborczą, Niemcy o mało nie naraziły się na wojnę z Francyą, Francya zaś sama załatwiła w tym roku sprawę kolosalnego dla swego rozwoju znaczenia — sprawę rozdziału Kościoła od państwa. Ponadto republiką francuską wstrząsnęła propaganda przeciw wojsku, jaka się rozszerzyła na całą republikę, zagrażając upadkiem militaryzmowi, tej podporze współczesnego państwa.

Idee wolnościowe, a zwłaszcza socyalistyczne, szerzące się szczególnie we Francyi, jako w państwie najbardziej wolnomyślnem, zwróciły się w ostatnich czasach szczególnie przeciw militaryzmowi. Nie będziemy się wdawali w rozprawy, o ile walka z militaryzmem jest pożyteczną czy zkodliwą, za znaczyć jednak musimy, że walka ta musiała siłą swego znaczenia ogarnąć szerokie sfery społeczeństwa. We Francyi



Powrót żołnierzy rosyjskich z Mandżury: Wozy z żołnierzami, powracającymi do Rosyi, na drodze syberyjskiej na wschód od Charbinu.



Propaganda antiwojskowa we Francyi: Ława oskarżonych w procesie o antiwojskową propagandę.

rozwinięto agitację za zniesieniem wojska, ze szczególną energią. Sprytni agitatorzy, po większej części fantaści i idealiści, wdarli się nawet do koszar, tak zazwyczaj chronionych od wszelkich postronnych wpływów i poczęli samych żołnierzy nakłaniać do porzucenia służby.

W kilkunastu garnizonach zaszły wypadki niesubordynacyi służbowej, poczęto więc śledzić i ostatecznie wpadnięto na trop spisku antiwojskowego. Głównych agitatorów, Herre'go, Cibot'a, Vigo'na, Yebot'a, Bousqueta i Gotier'a oraz szereg innych agitatorów, między niemi jednę kobietę, podobno Polkę, pannę Niemerską, uwięziono i stawiono przed sądem. Rozprawa trwała kilka dni, oskarżonych było bowiem wszystkich 26, a świadków kilkuset.

Budynek sądowy w Paryżu, gdzie się odbywała rozprawa, otoczony był przez cały czas tłumami publiczności, która otwarcie sympatyzowała z oskarżonymi. Dlatego też policya zarządziła wyjątkowe środki ostrożności.

Wyrok zapadł 31 grudnia. Wymienionych wyżej oskarżonych skazano na kary więzienia od lat 4 do jednego, pannę Niemerską uwolniono, kilkunastu innych skazano na kary kilkumiesięcznego więzienia. Oskarżeni nie przyjęli wyroku, który nazwali hańbą naszej cywilizacyi, a opuszczając salę, śpiewali mięzynarodowe pieśni, zwrócone przeciw armii.

Rządowi francuskiemu udało się więc zgnieść w zarodku propagandę antiwojskową; czy jednak uda mu się wykorzenić ziarno idei, rzucone przez oskarżonych wśród żołnierzy i ludności, w to możemy wątpić.

* * *

W uzupełnieniu artykułu podajemy obok dwie illustracye z procesu o propagandę antiwojskową w Paryżu.

Wilia w koszarach wojskowych w Tarnowie.

Wilia jest dla nas, dla Polaków zwłaszcza, świętem uroczystem, uświęconem wiekową tradycyą. Chwila to, której z drżeniem w sercu oczekuje każdy człowiek, bo wilia to święto pojednania święto nie tyle kościelne, ile rodzinne. Jest u nas zwyczajem, że na wilię stara się każdy być w domu rodzinnym, obok ojca i matki, obok krewnych i najbliższej rodziny. Może u innych narodów nie odczuwają tak znaczenia wilii, u nas dzień ten, w którym przy wspólnym stole zasiada cała rodzina do wspólnej wieczerzy z tradycyjnym opłatkiem, jest najważniejszym w roku. I dlatego to prawdziwie nieszczęśliwym czuje się Polak, który z jakichbądź powodów, nie mógł być na wilii w domu rodzicielskim. Jest to dla Polaka prawdziwe nieszczęście i nigdy żaden z nas nie zapomni o tem, jak wilię spędził poza rodzicielskim domem.

Można też sobie wyobrazić, jakim smutkiem przejęci są u nas żołnierze, którzy musieli pozostać na wilii w koszarach. Cały rok cieszyli się na wilię, cały rok ze drżeniem oczekiwali tego dnia, kiedy ulecą z ponurych murów koszarowych do rodziny, do ojczystych wiosek, do zagrody ojcowskiej, gdzie ich czeka stary ojciec i matka z opłatkiem. Wilii takiej nie zastąpi im choćby nawet najbardziej suta wieczerza wojskowa, zawsze oni tęsknić będą za wilią w domu rodzicielskim.

Żołnierzom 57 pułku piechoty, stacyonowanego w Tarnowie, urządzono w ostatnią wilię sad. Właściciel pułku, książę sasko kobursko-gotajski, znając widocznie obyczaje polskie, chciał żołnierzom, zatrzymanym na święta w koszarach, choć w części święta te uprzyjemnić i zmniejszyć ich tęsknotę za domem. Z własnej szkatuły wyznaczył więc pokaźną kwotę, za którą kazał urządzić w koszarach Boże drzewko.

Koszary ozdobiono wieńcami z jedliny, wśród których migotały barwne lampiony. W środku ustawiono dwa drzewka, suto ozdobione i oświetlone setkami świeczek. Obok drzewek zebrali się oficerowie pułku z jenerałem na czele. Wśród ogromnie podniosłego nastroju po stosownych przemówieniach obdarowano żołnierzy, którzy dla hojnego właściciela pułku przepełnieni byli wdzięcznością za to przypomnienie im wilii z Bożem drzewkiem i opłatkiem zdala od domów rodzinnych.

Uroczystość nosiła na sobie piętno bardzo swojskie i ciepłe. Żołnierze nie posiadali się z radości, że z dala od domów rodzinnych mogli w murach koszar znaleść przypomnienie tak uroczystej chwili jak wilia. Nic dziwnego, że po uroczystości z piersi ich wyrwało się radosne „W żłobie leży“, pieśń, która im tyle nasuwała wspomnień, która niejednemu stawiła przed oczy cichy wiejski kościółek rozbrzmiewający radosnymi śpiewami pasterki, na której i on zwykle bywał. Uroczystość Bożego drzewka, sprawiona im dzięki hojności szlachetnego właściciela pułku, wywarła na wszystkich obecnych głębokie wrażenie.

* * *

W uzupełnieniu artykułu podajemy obok zdjęcie fotograficzne z uroczystości wigilijnej w koszarach 57 pułku piechoty w Tarnowie.

Powrót żołnierzy rosyjskich z Mandżuryi.

W grudniu minęło już pięć miesięcy od czasu, kiedy z Portsmouth rozeszła się po świecie radosna wieść o zawarciu pokoju między Rosyą a Japonią, pokoju, który położył nareszcie kres zaciętej wojnie, jednak do dziś dnia nie zdołała Rosya wycofać wszystkich swoich wojsk z Mandżuryi. Złożyły się na to najrozmaitsze przyczyny, w głównej jednak części ustawicznie się ponawiające strejki



Fot. Majewski, Tarnów.

Wilia w koszarach wojskowych w Tarnowie: Uroczystość Bożego drzewka w koszarach 57 pułku piechoty w Tarnowie



Propaganda antiwojskowa we Francyi: Sala rozpraw w procesie o propagandę antiwojskową w ostatnim dniu procesu.

kolejowe, które nietylko w Europie się szerzyły. Echa rewolucyi, która rozgorzała potężnym płomieniem w Rosyi europejskiej, przedarły się nawet do Rosyi azyatyckiej, przedarły się przez skały Uralu i lody Bajkalskiego jeziora, a najlepszym tego dowodem były strejki kolejowe, jakie co jakiś czas wybuchały nawet na kolei syberyjskiej.

Pominąwszy więc fakt, że rząd rosyjski nie życzył sobie bynajmniej, aby niedobitki armii Kuropatkina i Liniewicza powróciły do ojczyzny w chwili największego w niej wrzenia, obawiając się słusznie, że żołnierze, z dalekiego Wschodu powracający, mogą się stać bardzo dobrym materyałem dla idei rewolucyjnych w ręku sprytnych i energicznych agitatorów, główna przyczyna, że wojska z armii mandżurskiej do dziś dnia tam jeszcze w znacznej części się znajdują, leży właśnie w ustawicznych strejkach na kolei syberyjskiej. O strejkach tych mało dochodzi wieści poza granice Rosyi; rząd stara się bowiem utrzymać strejki te w tajemnicy, by nie wzmacniać w ufności strejkujących kolejarzy europejskich, a zagranicę utrzymać w mniemaniu, że jednak nie wszystkie kraje, pod berłem rosyjskiem zostające, ogarnęło wrzenie rewolucyjne.

Wskutek tego kilkanaście tysięcy żołnierzy rosyjskich, którzy przebyli trudy półtorarocznej przeszło kampanii wojennej, zostało odciętych od ojczyzny. Zmuszono ich do zatrzymania się w Charbinie, i innych miastach mandżurskich, bo nie było sposobu na przetransportowanie ich do ojczyzny, od której oddzielały ich śniegiem pokryte równiny Syberyi. Biedacy ci, żarci tęsknotą za krajem rodzinnym, wzmagającą się z dnia na dzień, zdani na łaskę i niełaskę znanej ze swej sumienności administracyi wojskowej, chwytali się rozmaitych środków, aby w jakikolwiek sposób módz powrócić do Europy. Przed kilku tygodniami wybuchła w Charbinie rewolucya wojskowa, głównie z powyższych przyczyn. Ostatecznie żołnierze, którzy uciułali sobie nieco grosza, zdołali wykołatać u zarządu wojskowego, iż nareszcie pozwolono im udać się z powrotem do ojczyzny jedyną drogą, jaka im pozostała wobec tego, że na drodze żelaznej trwał w kilkunastu miejscach strejk, że tory nieraz na kilkumilowej przestrzeni były popsute — mianowicie drogą kołową.

Dowód to najlepszy, jak silną jest tęsknota za ziemią rodzinną nawet u najmniej oświeconych, najmniej rozumiejących samo to pojęcie: Ojczyzna. Bo z tych, którzy na wozach udali się w drogę z Charbina do Rosyi, kto wie, czy połowa nie zmarznie na Syberyi. Każdy z żołnierzy, opuszczając Charbin, modlił się w duchu o szczęśliwe dotarcie do kresu podróży, dalekiej, wymagającej nadzwyczajnego hartu ducha i hartu ciała. A jednak nie wzdrygał się żaden z nich przed niebezpieczeństwami, bo duszę każdego przepełniało najgorętsze uczucie, że przecie wkrótce zobaczy kraj rodzinny, krewnych i znajomych.

Zamieszczone w dzisiejszym numerze ilustracye przedstawiają dwie sceny smutnego powrotu rosyjskich żołnierzy do ojczyzny. Przed barakami, jakie dla żołnierzy wystawiono za Charbinem, widać szereg wozów z żywnością i pakunkami nieszczęśliwych wojowników. Opuszczają oni zaciszne ustronie mandżurskie, niepewni, czy szczęśliwie staną u celu drogi, bo droga to długa i daleka, przez mroźny Sybir, przez góry Uralu wiodąca. Pędzi ich jednak tęsknota za krajem rodzinnym, za swoimi. Jadą więc z błogą nadzieją po ziemi, ściętej mrozem w twarde grudy, otuleni w grube płaszcze, mające ich chronić od zimna. Smutny, zaiste, powrót!



Jeńcy japońscy, powracający z Rosyi: Jeńcy, po przybyciu do Hamburga, owacyjnie witani przez publiczność na dworcu hamburskim.

J. HAWTHORNE.

Tragiczna tajemnica.

Z upoważnienia autora z angielskiego przełożył J. R.

5 (Ciąg dalszy).

— A czy nie słyszałeś pan jakiego hałasu, kiedy weszła do gospody?

— Nie. Ale, prawdę powiedziawszy, mogłem nie słyszeć, bo wicher wył jak wściekły i tłumił głos.

— Czy rewolwer był nabity, jak go pan znalazłeś?

— Nie patrzyłem, więc nie wiem.

— Wiesz pan, kto ja jestem? — spytał niespodzianie inspektor.

— Naturalnie, panie inspektorze, jakżeby nie? Gdybym pana nie znał, to niebyłbym panu wszystkiego opowiadał — odparł Bride.

— Dobrze; będziesz pan musiał historyę tę raz jeszcze powtórzyć.

Inspektor skinął na swego towarzysza i polecił mu jechać wraz z Bride'm do stajni, a potem przyprowadzić dorożkarza do swojej kancelaryi.

— Znajdziesz mnie pan w moim biurze — kończył inspektor i dodał szeptem: A uważaj pan i notuj każde słowo Bride'go.

Posłuszny ajent usłuchał i wsiadł do dorożki, która wkrótce znikła na zakręcie ulicy.

Inspektor wolnym krokiem ruszył w głąb miasta, zatop ony w myślach. Zeznania Bride'go były dlań zupełną niespodzianką. Stwierdzały one najdokładniej, że zapatrywania Ślimaka na sprawę morderstwa Haniera nie były wcale nieuzasadnione. Dwie osoby, mężczyzna i kobieta, którzy mu jeszcze nie byli znani, byli u Hanier'a w nocy z 29 na 30 grudnia. Cóż ich tam mogło sprowadzać? Chyba jakiś bardzo ważny powód. Mężczyzna miał ze sobą rewolwer, ale nic nie przemawiało zatem, aby z rewolweru tego strzelił był w gospodzie Haniera. Ba, według zeznania Bride'go i pani Hanier, było to nawet zupełnie niemożliwe. Gdyby jednak nieznajomy nie myślał o tem, że rewolwer mu się przyda, toby go chyba nie był ze sobą zabierał. Nie można było jednak uważać za wykluczone, że Bride zataił prawdę i że o rewolwerze wiedział więcej, aniżeli zeznał.

— W każdym jednak razie myślał inspektor — to, co Bride zeznał o swojej nocnej jeździe, to musi być prawdą, bo zgadza się co do joty z zeznaniami wdowy Hanier. Ale można też przepuścić, że Bride znalazł rewolwer, powrócił potem do gospody i zabił Hanier'a. Niemożliwe to nie było.

Tak, ale w takim razie czemu wogóle wspomniał o gospodzie Hanier'a? Mógł przecież wymienić jakąkolwiek ulicę i powiedzieć, że tam zawiózł ową parę. Przecież nie mógłbym mu udowodnić, że kłamie. Żaden złoczyńca nie podaje dobrowolnie szczegółów, które nań mogą rzucić niekorzystne światło.

A więc trzeba przyjąć, że Bride mówił rzeczywiście prawdę. Naturalnie, muszę się o nim również bliższych szczegółów dowiedzieć. Ale jeżli się okaże, że w nocy 30 grudnia o godzinie 1-szej był już w stajni — w takim razie on jest niewinny.

Co się tyczy owej tajemniczej pary, to szczególnie godne uwagi są dwa punkty: pierwsze, że mężczyzna ów, ze siwiejącą już brodą, którego na drugi dzień po zamordowaniu Haniera widział wraz z towarzyszką Ślimak, był tymsamym, który towarzyszył owej kobiecie w dorożce, a drugie, że oni obydwoje przewidywali możliwość użycia broni. Jeżeli przy pierwszej sposobności nie zabili tam Hanier'a, to przecie mogli łatwo postarać się o drugi, powrócić z nim i popełnić morderstwo.

Ale to są wszystko hypotezy. Dotychczas niema ani jednej okoliczności, któraby pozwalała twierdzić na pewne, że oni mają coś wspólnego z morderstwem. Gdybym wiedział — myślał inspektor — że kobieta, będąc po raz pierwszy u Hanier'a nie dostała odeń srebrnej papierośnicy, mógłbym się już czegoś chwycić. W tej sprawie mogłaby mi udzielić wiadomości jedna tylko osoba, mianowicie Hanier — a ten nie żyje.

Nie jest także pewnem, czy Ślimak albo Bride rozpoznają tę tajemniczą parę. Zdaje mi się, żeśmy się ani krok naprzód nie posunęli.

Przyszedłszy do takiego wniosku, zmarszczył gniewnie czoło i przyspieszył kroku. Ale wkrótce się uspokoił i począł na nowo rozumować.

— Trzebaby jeszcze załatwić sprawę z Evansem — mówił sam do siebie. — Fakt, że go znaleźć nie można, rzuca nań podejrzenie. Właściciel lombardu, w którym Evans zastawił rewolwer, jest człowiekiem zacnym i prawym; mieszka on w tajemnej dzielnicy, w której się znajduje gospoda Haniera i nawet niedaleko niej się znajduje. Prawdopodobnie ów Evans mieszka gdzież w pobliżu lombardu Rosenthala. Jeżeli to jest zwyczajny łotrzyk wielkomiastowy, to można go będzie znaleźć gdzieś w szynkach tej dzielnicy. Ale jeżeli to jest człowiek porządny, to fakt, że kula, która zabiła Haniera, nadaje się do jego rewolweru, nie ma żadnego znaczenia — i znowu jesteśmy w ciemnościach.

Na wszelki wypadek trzeba będzie rozciągnąć opiekę na szynkami w okolicy ulicy Wolności, a Rosenthalowi nakaże się, aby jegomościa, który będzie chciał wykupić rewolwer, zatrzymał pod jakimkolwiek pozorem tak długo, aż ja się o tem dowiem.

Powróciwszy do owego biura inspektor kazał zawołać Bride'go, przesłuchał go raz jeszcze, spisał jego wszystkie zeznania i kazał mu się podpisać na protokole. Świadek nie zmienił ani słowa w zeznaniach, tak, że inspektor przyszedł do przekonania, iż nie ma celu zajmować się bliżej jego osobą, tembardziej, że kilku innych świadków stwierdziło wkrótce, iż Bride był krytycznej nocy przed godziną pierwszą w domu. Kazał mu zatem odejść, ale zaznaczył, że musi się stawić na każde wezwanie. Swoją drogą polecił ajentom czuwać nad jego osobą.

Dotychczasowe wszelkie usiłowania, aby sprawę morderstwa choć w części wyjaśnić, spełzły na niczem. Ale trudności, jakie z dniem każdym się zwiększały, nie odbierały wcale energii inspektorowi, którego tajemniczość zbrodni coraz bardziej nęciła. Postanowił też za wszelką cenę wykryć zbrodniarzy, choćby go to Bóg wie ile trudu kosztowało.

ROZDZIAŁ VII.

W lombardzie.

Nie próżnował inspektor Byrnes, ale nie próżnował i Ślimak, który śledził zbrodniarzy z zapalczywością psa gończego. Chodziło mu głównie o to, aby udowodnić ispektorowi, iż jego podejrzenia bardziej są do prawdy zbliżone i na lepszych oparte podstawach, aniżeli podejrzenia inspektora.

Ślimak był zdania, że srebrną papierośnicę ukradli nie zwyczajni złodzieje, ale osoby, które działały z pobudek o wiele ważniejszych, aniżeli zwykli działać pospolici zbrodniarze. Jeżeli to zapatrywanie było słuszne, to śledztwo nie miało wcale widoków powodzenia. Bo ludzie, którzy kradną dla zysku, starają się w jakibądź sposób o spieniężenie zdobyczy, co łatwo może policyę naprowadzić na ich ślad. Jeżeli jednak w tej sprawie wzięła udział osoba majętna, której na pieniądzach wiele nie zależało, wtedy sprawa inny przybrać musiała obrót. Ponieważ osoba ta nie pozostawiła po sobie żadnych śladów, można więc było przypuszczać, że srebrna papierośnica już nie wyjdzie nigdy na światło dzienne. Zresztą, osoby majętnej i zażywającej poważania nie można się tak dla byle powodu, dla byle podejrzenia czepiać. I choćby to nawet byli ci ludzie, których Ślimak na drugi dzień po morderstwie spotkał obok domu Haniera, to jednak do pochwycenia prawdziwych dowodów było jeszcze bardzo daleko.

Myśli te, ponure same w sobie, nie zdołały jednak zniechęcić Ślimaka. Postanowił on zwiedzać teatry, sale koncertowe, kościoły, wogóle wszystkie te miejsca, gdzie zwykła się gromadzić arystokracya i wogóle ludzie bogaci przeważnie. Zdawało mu się bowiem, że musi tam spotkać owego mężczyznę i tę kobietę, którzy mu wpadli w oko zaraz na początku śledztwa. Był przekonany, że spotka ich wcześniej czy później, ale w każdym razie spotka. Na razie miał więc przez pewien czas bawić się w donżuana, bywać stale w parkach, w tych godzinach, w których się tam jawiła arystokracya, chodzić na bale, zabawy itd. Na samą myśl o tem, jak on to będzie wyglądał w roli modnisia i eleganta, roześmiał się sam do siebie.

Zatopiony w myślach błądził czas jakiś po najludniejszych ulicach, nareszcie zatrzymał się na rogu 23 Avenue. Stanął, jakby namyślając się, czy ma iść dalej w tym kierunku, czy zawrócić ku skwerowi Modison. Właśnie zdecydował się na to ostatnie, kiedy wzrok jego padł przypadkowo na jednego ze znajomych, który wyszedł z obok leżącej restauracyi i powoli szedł ulicą.

— Salomon Sibley — rzekł Ślimak sam do siebie. — Trzeba będzie z nim pogadać.

Sibley był właścicielem zakładu zastawniczego i miał ze Ślimakiem niejednokrotnie stosunki. W policyi uważano go za człowieka bardzo porządnego, który jej już nieraz dopomógł w śledzedzeniu zbrodniarzy.

Ślimak przyspieszył kroku i doszedł do Sibleya właśnie w chwili, kiedy tenże miał otworzyć drzwi, do lombardu wiodące.

— Dzień dobry, przecie Salomon — zawołał, kładąc mu rękę na ramieniu — Jakżeż interes? Dobrze idzie?

Właściciel lombardu, mały niskiego wzrostu, krępy człeczyna, z ogromnym nosem na czerwonej twarzy, obrócił się ku mówiącemu. Poznawszy Ślimaka, wzruszył ramionami i odparł:

— Pod psem, marnie. Na tym świecie są teraz jeno ludzie bogaci, którzy u mnie nie mają czego szukać — a jeżeli przychodzą, to robią to jedynie z łaski, kierowani litością. Daję panu na to moje słowo!

Wyciągnął z kieszeni wielką czerwoną chustkę, wypróżnił swój pokaźny nos z niemiłej zawartości i ciągnął dalej:

— Daję panu na to słowo honoru! Bo słuchaj pan tylko. Przed kilku dniami przyszedł do mnie jakiś pan ze srebrną papierośnicą.

— Z czem? — z czem? zapytał żywo Ślimak.

Mówiłem przecie z czem. Ale pozwól pan dalej, wejdźmy do sklepu, bo się tu na śmierć przeziębię.

To powiedziawszy, rozpoczął znowu operacye około wyczyszczenia nosa.

Ślimak wszedł za nim do lombardu, do małej, szkloną ścianą od reszty pokoju przedzielonej kancelaryjki. Serce biło mu jak młotem, kiedy na zaproszenie uprzejmego właściciela siadał na podanem mu krześle. Mister Sibley przyniósł również duże pudełko dobrych cygar i rzekł:

— Proszę, może pan zapali?

— Nie palę, niestety — odparł Ślimak. — Ale chciałeś mi pan przed chwileczką...

— Ach, panie drogi — mówił Sibley wzdychając — pan się o nic nie troszczy, ale ja w ustawicznej będący pracy, muszę czemś rozdraźnione nerwy uspokoić.

Mówiąc to z lubością zaciągnął się dymem cygara.

— Ale, mówiłeś pan przedtem — zaczął Ślimak na nowo — o srebrnej papieśnicy.

— No, właściwie to nie była papierośnica, tylko coś podobnego. Na papierośnicę byłby ten przedmiot za mały. Przecie długie to było na cztery cale. Dalibóg, nie wiem, co to było.

— Są rozmaite papierośnice, większe i mniejsze — przerwał mu Ślimak.

Sibley namyślał się chwilę, poczem rzekł:

— Tak według wszelkiego prawdopodobieństwa była to papierośnica. Tak, tak. Bo to była robota rosyjska, swoją drogą bardzo ładna, a tylko Rosyanie są przyzwyczajeni do papierosów, nawiasem mówiąc obrzydliwych.

— Rzeczywiście? Więc pan powiada, że to był wyrób rosyjski? Prawdopodobnie była z dobrego srebra i musiała być grawirowana.

— Tak jest. No, jednem słowem była to rzecz ładna — odparł Sibley. — Ale słuchaj pan dalej! Pan ów położył tę papierośnicę na ladzie, naturalnie, jeżeli to nazwiemy papierośnicą i zapytał mnie, ile daję. Wziąłem ją do ręki, zważyłem, oglądnąłem starannie i powiadam: „Pięć dolarów!“ Dałbym był nawet pięć i pół, daję panu słowo.

Przypuszczam. No, i co?

— On powiada: „Dobrze“, ale tak obojętnie, że spostrzegłem, iż gdybym mu był dał dolara tylko, to i takby mi ją zostawił. Biorę więc kartę zastawniczą celem wypełnienia jej, ale pióro było tak złe, że zawołałem Izaaka, aby mi podał nowe. Bo nie potrafię pisać złem piórem, daję panu słowo.

— Ma pan racyę — rzekł Ślimak, drżąc formalnie z ciekawości.

— Kiedy Izaak poszedł po pióro, przyjrzałem się bliżej owemu panu. A warto było spojrzeć. Był jakiś niespokojny, zdawało mi się, bo przestępował z nogi na nogę, często gęsto zatapiał palce w swej bujnej brodzie, wreszcie rozpiął surdut i z kieszeni kamizelki wyjął...

Sibley przerwał na chwilę i znowu zaciągnął się parę razy dymem.

— Co wyjął? — zapytał Ślimak, wstrzymując oddech w piersiach.

— Zegarek — odparł Sibley. — Ale, drogi panie, co za zegarek! Czegoś podobnego nie spotyka się tak często. Zegarek złoty, najnowszego systemu, najwyżej dwa cale mający w średnicy, przytem tak urządzony, że był w nim kalendarz i barometr, a kiedy się przycisnęło sprężynę, to wybijał godziny. Ja szacuję ten system najmniej na 600 dolarów.

— Wszystko ładnie, ale cóż to właściwie...

— Czekajże pan. Najciekawsza rzecz dopiero na końcu. Koperta tego zegarka była formalnie zasiana drogimi kamieniami. W środku wielki dziesięciokaratowy dyament, a naokoło niego rubiny i szmaragdy, aż oślepiały człowieka. Zegarek ten kosztował najmniej dwa tysiące dolarów. Jabym mu nań natychmiast sto dolarów na stół wyłożył.

— Więc pan ten zastawić chciał również i ten zegarek? — pytał Ślimak.

— Właśnie, że nie — odparł Sibley — nie zastawił go. On o tem ani nie myślał. Wyrzekł tylko te słowa: „Pospiesz się pan, bo nie mam czasu. O jedenastej czekają na mnie w klubie“ — i schował zegarek napowrót do kieszeni. A teraz proszę ja pana, jak sobie wytłómaczyć, że taki pan, mający taki kosztowny zegarek, przychodzi zastawiać papierośnicę za marne pięć dolarów? Co? Ja myślę, że on się tylko ulitował nad biednym właścicielem zakładu zastawniczego, i aby mu coś dać zarobić, zastawił, co miał przy sobie niepotrzebnego.

Powiedziawszy to, Sibley rozsiadł się wygodnie w szerokiem krześle z miną człowieka, który się wysoko ceni na punkcie swego rozumu.

Na Ślimaku opowiadanie to zrobiło ogromne wrażenie, ale z innych zupełnie powodów, niż sądził Sibley. Po chwili zwrócił się więc do niego i zapytał:

— Jakże ten pan wyglądał? Nie był to przypadkiem młody chłopak, niskiego wzrostu, blondyn, z wygoloną starannie twarzą?

— Nie, nie, nie, zupełnie pan chybiłeś! — zawołał Sibley. — Miał on najmniej lat pięćdziesiąt, brodę miał już gęsto siwizną przyprószoną, brwi miał gęste, takie krzaczaste brwi. A wzrostu był wysokiego, był wyższy odemnie — dodał w końcu, jakby jego niska osóbka miała być probierzem wysokości.

Ślimak nie wątpił już, że znalazł właściwy ślad. Odzyskał już swój zwyczajny spokój i zaczął — stosownie do swego przyzwyczajenia, które u niego stało się już poprostu drugą naturą, badać dalej Sibleya, ukrywając przed nim naturalnie prawdziwy cel swej indagacyi.

— Takiego człowieka nie znam — rzekł. — Mówisz pan, że to było przed kilku dniami? Może zaraz po Bożem Narodzeniu?

— Nie, właśnie przed samym Nowym Rokiem — odparł Sibley, patrząc w zamyśleniu przed siebie.

— Tak, tak — zaczął znowu Ślimak. — Jednak historya to ciekawa. Rosyjskich fabrykatów srebrnych u nas się często nie spotyka. Możeby mi pan pokazał tę papierośnicę?

— Zrobiłbym to z całą przyjemnością, drogi panie, wiesz pan przecie, że jestem zawsze na pańskie usługi. Ale, niestety, teraz to niemożliwe.

— Niemożliwe? A dlaczego nie?

— Bo ja jej już nie mam.

— Co? — krzyknął Ślimak i aż podskoczył w górę. — Przecież pan jej nie...

— O, zdaje mi się, że pana to na seryo zajęło — rzekł Sibley nie bez zdziwienia. — Gdybym był o tem wiedział, tobym...

— Ależ nie, najzupełniej mnie to nie obchodzi — odparł Ślimak, opanowując przemocą wzruszenie. — Ale jeżeli papierośnicę tę zastawiono dopiero koło Nowego Roku, to któż ją już wykupił?

— Ano, tensam pan, który ją zastawił. To znaczy, ja go sam już nie widziałem, ale pomocnik mój Izaak, odebrał kartę zastawniczą i zastaw wydał. Tak, to jest ciekawe. Ale, że ten pan nosił taki zegarek przy sobie — to według mnie, jest stokroć ciekawsze.

— Kiedyż więc przyszedł ją wykupić? — zapytał Ślimak drżącym głosem.

— Izaak! — zawołał Sibley przez otwarte drzwi, wiodące w głąb kantoru.

Po chwili wszedł pomocnik, a Sibley zwrócił się do niego:

— Kiedy ten pan wykupił srebrną papierośnicę, o którejśmy tyle mówili?

— Wczoraj wieczorem o pół do ósmej — odparł Izaak natychmiast.

— Tak mi się zdawało, wczoraj wieczór o pół do ósmej — powtórzył Sibley. — Chciałeś pan jeszcze co wiedzieć, panie Ślimak?

— Na jakie nazwisko zastaw opiewał?

— Izaak, odpowiedz panu — rzekł Sibley do pomocnika.

— Na nazwisko Ludwika Hanier'a z ul. Wolności nr. 144 — wyrecytował Izaak.

— Ludwika Hanier'a, z ulicy Wolności nr. 144 — powtórzył Sibley, jakby chciał tłómaczyć słowa swego pomocnika. — Ma pan jeszcze jakie życzenie?

— Nie, nic więcej — odparł Ślimak słabym głosem.

Sibley zwrócił się do pomocnika i rzekł z miną zarozumiałego pryncypała:

— Izaak, to już wszystko. Możesz odejść.

Izaak w tej chwili opuścił kancelaryę.

— Mądry chłopak — utyskiwał Sibley — i dlatego muszę go trzymać w rękach, bo inaczej mnieby przerósł.

Ślimak zaś pożegnał się zaraz i wyszedł. Opowiadanie Sibleya wzburzyło go i musiał się trochę uspokoić, zebrać rozproszone myśli. Srebrna papierośnica, którą już miał prawie w rękach, wymknęła mu się, zaledwie wpadł na jej ślad. Tajemniczy nieznajomy, który mu się odrazu wydał podejrzanym, nad wszelkie spodziewanie sam papierośnicę zastawił; w parę dni później bez żadnej widocznej przyczyny napowrót ją wykupił.

Co to wszystko miało znaczyć?

A jednak nie to jeszcze było najciekawszym punktem w całej tej sprawie.

Splamiony jeszcze krwią swojej ofiary morderca miał tę nadzwyczajną, niespotykaną czelność, że podszył się pod imię i nazwisko zamordowanego. Czy to była czelność? Czy był to podstęp i spryt?



Nie, właśnie przed samym Nowym Rokiem — odparł Sibley, patrząc w zamyśleniu przed siebie.

Co to miało znaczyć? Bo wygląda to prawie na czyste szaleństwo

Ślimak stanął i zaczął rozważać na nowo wszystkie szczegóły.

A jeżeli zamordowanie Haniera było istotnie czynem obłąkanego? Czy nie rzuciłoby to jasnego światła na pewne okoliczności, które dotychczas zdały się być okryte nieprzebitą ciemnością? Od początku do końca cała ta sprawa była prowadzoną bez planu i bez rozumu! Dwukrotne odwiedzenie Haniera, zjawienie się na drugi dzień po morderstwie przed domem nieszczęśliwego Haniera, zastawienie srebrnej papierośnicy, z powodu której popełniono morderstwo, wykupienie jej z lombardu w kilka dni później, przywłaszczenie sobie imienia i nazwiska, a nawet adresu ofiary, szalone spustoszenie w gospodzie — czyż to wszystko nie było dziełem człowieka nietylko niezdrowego umysłowo, ale prawdziwego, silnie chorego waryata?

— Czemuż ja o tem przedtem nie pomyślałem? — wyrzucał sobie Ślimak.

Szedł ulicą, nie wiedząc dokąd, ani kto się obok niego przesuwa. Zdawało mu się przez chwilę, że on sam naraz rozum postradał.

A gdyby tak zapytać się w Bloomingdale, czy w tych dniach nie uciekł ze zakładu jaki obłąkany?

Właśnie miał zamiar udać się do szpitala waryatów, kiedy mu nowa myśl przyszła do głowy. Jeżeli nawet mężczyzna ów był waryatem — to jakąż rolę odgrywała tam kobieta? Przecież niepodobna przypuścić, aby i ona była waryatką!

VIII.

U balwierza.

W czasie, kiedy opowiedziane wyżej zdarzenia rozgrywały się w Nowym Jorku, na jednem z ludnych przedmieść tego miasta, w Jersey City żył porządny, spokojny młody człowiek, noszący skromne nazwisko: Robert Johnson. Jeśli mówimy, że tam żył, to tylko dlatego, że tak się zwykle mówi; właściwie bowiem można go tam było znaleźć tylko w nocy i w czas rano, podczas śniadania. Resztę czasu spędzał bowiem w centrum miasta, po drugiej stronie rzeki.

Młody mister Johnson był mężczyzną o miłej powierzchowności, średniego wzrostu, szczupły, dobrze zbudowany i ruchliwy, z jasnym wyrazem twarzy, mógł być uważany za wzór zdrowego człowieka. Błyszcząca barwa skóry, jasno siwe oczy, oraz szczególny sposób strzyżenia brody zdradzały w nim pochodzenie europejskie, do czego przyczyniał się zwłaszcza jego akcent i dyalekt londyński. Mister Johnson nie ukrywał się zresztą wcale z tem, że jest Anglikiem, dzieckiem nowożytnego Babilonu, Londynu.

Pobyt jego w Ameryce datował się od niedawna dopiero. Ośm miesięcy minęło zaledwie od chwili, kiedy się rozpoczęła nasza historya, kiedy mister Johnson wsiadł w Anglii na okręt, emigrując z kraju, w którym, jak sam powiadał, niczego się dorobić nie można, bo konkurencya niszczy wszystkie usiłowania najenergiczniejszych nawet jednostek. A Johnson był człowiekiem przedsiębiorczym, miał duży spryt i ochotę do pracy, zapragnął więc na innej ziemi, w nowym świecie, szukać tego, czego nie mógł znaleźć w swojej ojczyźnie.

Z zawodu był Johnson rytownikiem i to nie najgorszym. W kilka dni po przybyciu do Nowego Jorku znalazł więc zajęcie w akcyjnym zakładzie rytowniczym. Dzięki znajomości swojego przedmiotu zdołał w krótkim czasie pozyskać sobie zaufanie przełożonych, którzy mu poruczali nadzór przy wykonywaniu większych zamówień. Wskutek tego miał Johnson bardzo częste stosunki z dyrektorami zakładu, pomiędzy którymi największe znaczenie miał pułkownik Hugo Desmond, bogaty obywatel Nowego Jorku.

Między pułkownikiem Desmondem a Johnsonem wywiązał się niepostrzeżenie pewien rodzaj przyjaźni; zdarzało się nieraz, że zapuszczali się w pogawędkę, która nie miała nic wspólnego ze sprawami rytownictwa. Pułkownik Desmond mieszkał dawniej w Londynie, a ponieważ Johnson znał Londyn jak własną kieszeń i niedawno go opuścił, więc pułkownik wypytywał go o wszystko, co tyczyło tej światowej stolicy. Ze szczególną jednak ciekawością pytał się pułkownik o stosunki polityczne w Londynie, a Johnson był w tych kwestyach nadspodziewanie dobrze obeznany. Zdradzał przytem samodzielne oryginalne poglądy, co się Desmondowi bardzo podobało.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Gwałty żołdactwa rosyjskiego na granicy austryackiej.

Żołdactwo rosyjskie, w wojnie tchórzliwe i nie do użycia, słynie z okrucieństwa i dzikości. Wielokrotnie też zdarzały się już wypadki nadużycia broni przez żołnierzy rosyjskich, strzegących granic państwa, a nadużyć tych ofiarą padali zupełnie niewinni poddani państw, sąsiadujących z Rosyą.

Jednym z najjaskrawszych takich wypadków pogwałcenia prawa międzynarodowego było postrzelenie przez sołdata studenta lwowskiej politechniki, Kornela Celewicza; wypadek ten miał miejsce na granicy austryacko-rosyjskiej w okolicy Tomaszowa w dniu 27 grudnia z. r. W dniu tym wybrał się p. Celewicz w towarzystwie dwu gajowych na polowanie, w czasie którego postrzelił zająca. Ponieważ zając ten uciekł w kierunku granicy, p. Celewicz udał się za nim i doszedł do pasa granicznego. Tu wywiązała się między nim a sołdatem rosyjskim, strzegącym granicy rozmowa początkowo zupełnie zgodna, tak, iż nawet p. Celewicz potraktował żołnierza papierosem i dał mu oglądnąć swą piękną strzelbę. Nagle sołdat „zbiesił się“, rzucił się naprzód na gajowych, towarzyszących p. Celewiczowi, a następnie na niego samego, a gdy wszyscy trzej zwrócili się do ucieczki, dał strzał za nimi i zranił p. Celewicza w nogę. P. Celewicz padł już w obrębie granic Austryi, sołdat więc przeniósł go po za pas graniczny i tam zaalarmował sąsiednie posterunki, poczem p. Celewicza przeniesiono do szpitala w Tomaszowie.

Na wieść o wypadku tym udała się matka p. Celewicza z Uhnowa do Tomaszowa i wyjednawszy tam oddanie rannego syna, odwiozła go do Lwowa na klinikę, gdzie dokonano operacyi.

Jakkolwiek życiu p. Celewicza nie grozi niebezpieczeństwo, to jednak gwałt sołdata rosyjskiego opłaci on ciężką chorobą i prawdopodobnie kalectwem.

Spodziewać się należy, że władze austryackie ujmą się za swym poddanym i zaremonstrują u władz rosyjskich przeciw temu niesłychanemu nadużyciu i gwałtowi.

W numerze dzisiejszym zamieszczamy portret p. Celewicza.



Gwałty żołdactwa rosyjskiego na granicy austryackiej: Kornel Celewicz, słuchacz lwowskiej potitechniki, raniony przez żołnierza rosyjskiego na granicy.

Modlitwa wśród huku dział.

Leży to już w naturze człowieka, że w każdem nieszczęściu, w każdej godzinie niebezpieczeństwa, zwraca się do Stwórcy i w modlitwie szuka ukojenia, pociechy i ratunku. Nawet najzagorzalsze niedowiarki, bryzgające zazwyczaj jadem szyderstwa i złośliwej ironii na religię, niejednokrotnie w chwili, gdy czują, że zbliża się ostatnia godzina, że czas ich nadchodzi, kiedy czują już nad sobą upiorne skrzydła śmierci, zapominają o swojej „filozofii“, zapominają o tem, co dawniej robili i mówili i w pokornej modlitwie zwracają się do Pana nad pany. Nawet na wojnie, wśród huku dział, wśród deszczu kul, siejących wokół śmierć, każdy człowiek poprostu przestaje być człowiekiem, kiedy zapomina o wszystkiem, pochłonięty jeno żądzą mordowania, dusza każdego szepce modlitwę, może nieświadomie, ale szepce, bo modlitwa dodaje mu sił. Ba, trzeba przyznać, że wojna, że bitwa potęguje jeszcze w człowieku uczucie wiary i pobożność, nie tyle może w walczących, jak w tych, którzy są na tyle bezpieczni, że śmierci się nie obawiają, a widzą jej straszliwie żniwo naokół siebie.

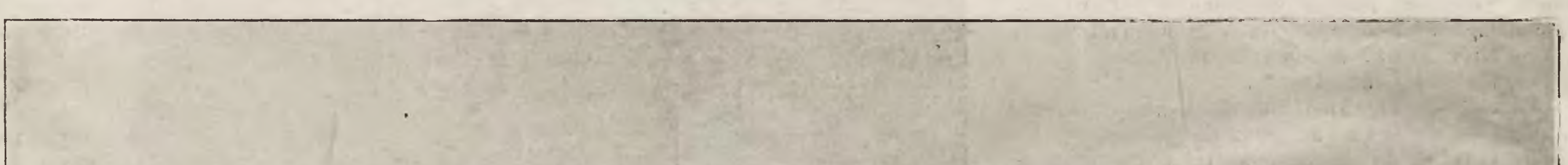
Podczas krwawej rebelii wojskowej w Sebastopolu, kiedy do walki wystąpili bracia przeciw braciom, synowie jednego narodu, zdarzyło się kilka wypadków, które majestatem swej świętości i powagi wryć się musiały w serca widzów niezatartem wspomnieniem. Jedną z takich scen zamieszczamy obok w dzisiejszym numerze.

Dnia 27 listopada, w dniu rozstrzygającym dla dziejów rebelii, port Sebastopolski był widownią morderczej bitwy morskiej. Admirał Czuchnin, któremu poruczono stłumienie sebastopolskiego buntu wytężył wszystkie siły, jakie miał, aby rebelii zadać śmiertelny cios. Skoncentrował więc ogień wszystkich bateryi nadbrzeżnych na okręty, na których znajdowali się zbuntowani marynarze. Wywiązała się mordercza walka. Obie strony prześcigały się nawzajem w męstwie, huk dział potęgował się z każdą godziną, śmierć zbierała po obu stronach walczących obfitą daninę. Po kilku godzinach walki morze rozkołysało się jak pośród burzy wzburzone hukiem armat, coraz częściej pokazywały się na zbuntowanych okrętach żółte języki ognia, aż nareszcie „Oczakow“ na którym znajdowali się komendanci rewolucyi, stanął cały w płomieniach, zwiastując krwawą łuną światu, że rewolucya została zgnieciona. W czasie tej szalonej walki na brzegu morskim, dotykającym jednej z wsi, leżących obok Sebastopola, zgromadziła się cała ludność, która z oddali patrzyła na walkę. Wrażenie walki musiało być straszne, skoro wszyscy po kilku minutach rzucili się na kolana i poczęli się głośno modlić za walczących. Śmierć jest zawsze straszna, o ileż straszniejszy jest widok masowej śmierci! Biedni włościanie ochłonąwszy, wznieśli potem choralny śpiew za umarłych. I wśród huku dział płynęła z brzegu morskiego w niebo, zasłane chmurami dymu, błagalna pieśń o zmiłowanie o litość nad konającymi, o pokój na ziemi.

Ilustracya nasza, zamieszczona obok, przedstawia wyżej opisaną scenę. Wrażenie tego obrazka jest wstrząsające.

Japończycy a kultura europejska.

Państwo „wschodzącego słońca“, jak Japonię nazywają sami Japończycy, dopiero przed niewielu laty stało się państwem takiem, jakiem jest dzisiaj. Prawdziwy, faktyczny rozwój Japonii datuje się zaledwie od lat czterdziestu, kiedy po krwawej rewolucyi wewnętrznej, dokonała się w państwie mikada epokowa przemiana, kiedy na ruinach zaśniedziałego w swej starości, średniowiecznego jeszcze feudalizmu, wzniosło się państwo nowe, na wzór europejskich mocarstw urządzone, państwo konstytucyjne. Rzecz naturalna, że takie młode mocarstwo nie byłoby nigdy doszło do takiego stopnia świetności, jaką dzisiaj już osiągnęło, gdyby nie było całą siłą wchłaniało w siebie wszystkich owoców naszej kultury, gdyby sobie nie przyswajało energicznie najnowszych zdobyczy europej-



Modlitwa wśród huku dział: Ludność z okolic Sebastopola, zgromadzona na brzegu morskim, modli się za walczących w chwili największej walki, skoncentrowanej koło krążownika „Oczakow“.

skiej cywilizacyi. To też rok rocznie wędrowało do Europy setki Japończyków, między nimi mnóstwo wysłanych na koszt rządu, którzy mieli przyswajać sobie wszystko, co tylko będą mogli, aby potem to, czego się nauczyli u Europejczyków, mogli zużytkować w swojej, do cywilizacyjnego życia się przygotowującej ojczyźnie. I nawet dzisiaj, kiedy Japończycy dali światu całemu dowody, że są już narodem bardzo cywilizowanym, że ich Europa nie tylko szanować, ale poważać musi, rząd japoński zawsze jeszcze wysyła do zachodniej Europy kilkudziesięciu ludzi, którzy mają być podporami państwa w przyszłości, pionierami europejskiej kultury w kraju „czerwonych wiśni“.

W roku zeszłym, w grudniu, rząd japoński wysłał do Europy znowu kilkudziesięciu młodych Japończyków, a między nimi również trzech oficerów armii lądowej, którzy w wojnie rosyjsko-japońskiej kilkakrotnie się odznaczyli. Wysłanie ich do Europy na studya jest już dla nich zapowiedzią, że czeka ich w ojczyźnie świetna karyera; po powrocie bowiem oni będą mieli wszędzie pierwszeństwo, jako ci, którzy w Europie, zawsze jeszcze dla Japończyków aureolą wysokiej kultury otoczonej, czerpali naukę z najlepszych źródeł, bo w największych stolicach, w ogniskach kultury i życia umysłowego. Jest to więc dla nich najlepsza i największa nagroda za waleczność, za trudy w czasie wojny poniesione.

Trzej oficerowie, których fotografię zamieszczamy w dzisiejszym numerze, wysłani zostali specyalnie przez sztab generalny do Berlina, gdzie mają studyować głównie strategię. Czy się od Niemców dużo nowego nauczą, możemy wątpić, wiadomo bowiem, że Niemcy od nich w ostatnim roku dużo się sami nauczyli. W każdym jednak razie rząd japoński nie będzie sobie miał nic do wyrzucenia, że po wojnie z Rosyą spoczął na laurach i zapomniał o postępie, że zanadto ufał sobie i swej sile i nie chciał znać najnowszych zdobyczy europejskich na polu strategii. Jest to jeden jeszcze dowód, jak zapobiegliwy, ostrożny i przewidujący jest rząd państwa „wschodzącego słońca“.



Japończycy a kultura europejska: Trzej oficerowie japońscy, wysłani w grudniu do Berlina na studya strategiczne.

Kasy ogniotrwałe wyrobu krajowego.

Przemysł krajowy, tak zwolna się u nas rozwijający, ma do walczenia nie tylko z obojętnością szerokich warstw społeczeństwa, ale i z nieufnością władz, wobec których ten przemysł jest prawdziwym kopciuszkiem. To też każdy wypadek powierzenia dostaw rządowych fabryce krajowej, należy powitać i traktować jako fakt bardzo pomyślny.

O uzyskanie dostaw dla galicyjskich kas rządowych stara się obecnie lwowska fabryka kas ogniotrwałych p. Wojciecha Kosiby. W tym celu odbyła się w zeszłym tygodniu wobec przedstawicieli władz i grona zaproszonych znawców próba wytrzymałości kas z fabryki p. Kosiby pochodzących. Jedną z kas, w której znajdowały się banknoty i złote pieniądze, otoczono drzewem i podpalono ją. Płomienie, wydobywające się ze stosu, rozgrzały kasę do czerwoności; następnie kasę ostudzono i otwarto bez żadnych trudności, przyczem okazało się, iż pieniądze nie zostały wcale uszkodzone. Rezultat próby był tedy zupełnie zadawalniający, okazało się bowiem, że kasy z fabryki p. Kosiby przewyższają wyroby obce, choćby z tego powodu, że zamki nie psują się pod wpływem nawet najsilniejszego żaru i funkcyonują zupełnie dobrze, podczas gdy w innych kasach, choć one również opierają się działaniu ognia, zamki się psują, tak, iż po ostudzeniu trzeba kasy rozbijać.

Rycina obok zamieszczona, przedstawia chwilę dokonania próby z kasą ogniotrwałą p. Kosiby.



Kasy ogniotrwałe wyrobu krajowego: Palenie kasy ogniotrwałej wobec zaproszonej komisyi. (Fot. M. Münz Lwów).

Zawieszenie „Kuryera Porannego“ w Warszawie.

Warszawa bez „Kuryera Porannego“? bez Fryzego?

A jednak przyszedł i taki czas, przyszedł po dwudziestu dziewięciu latach istnienia „Porannego“.

Jeszcze numer noworoczny ukazał się z tą porządkową cyfrą, przynosząc między innemi opis „krwawych dni w Moskwie“, przez naocznego świadka napisany, który ściągnął na siebie pierwszy wyrok konfiskaty i zawieszenia „Porannego“ z nakazu władzy stanu wojennego.

Zapobiegliwy wydawca i redaktor p. Feliks Fryze w lot przedzierzgnął inkryminowanego „Porannego“ w nowe pismo p. t. „Gazeta Domowa“, przerwane w swem tygodniowem wydawnictwie właśnie rok temu.

Lecz niestety morganatyczny ten związek z Gazetą Domową skazany został już po dwu dniach na ponowne zawieszenie.

Niemniej jednak „Poranny“ nie dał za wygraną i pojawił się nazajutrz tj. 4 stycznia znowu pod nowym tytułem, tym razem jako „Sport“, w charakterze „dodatku“ do takiego pisma tygodniowego wydawanego przez p. Wacława Orłowskiego, już z podpisem tego ostatniego w miejscu, na którem od lat 29 widniał podpis Feliksa Fryzego.

Lecz i tej nowej sportowej przemianie pisma nie uśmiechał się dłuższy żywot niż dni trzech.

W sam dzień Trzech Króli przybyły organa władzy w asystencyi wojskowej, z poleceniem konfiskaty i zawieszenia pisma, zamknięcia i opieczętowania drukarni w pomieszczeniach jej tak przy ul. Wierzbowej l. 3, jak i Senatorskiej 31, a zarazem z rozkazem dla wydawcy i redaktora „Kuryera Porannego“ p. Feliksa Fryzego, by w przeciągu doby opuścił Warszawę i wyjechał za granicę, gdyż w przeciwnym razie zostanie zamknięty w więzieniu.

Była godzina 5 popołudniu, kiedy cały ten akt urzędowy został już dokonany.

Właśnie o tej porze zaczyna w biurach redakcyi świtać nocne życie i ruch przy biurkach, jasno oświetlonych lampkami elektrycznemi...

Światła zapłonęły i tego wieczora pamiętnego — ale już nie do pracy... która chwilowo zamarła a wraz z rozejściem się współpracowników po poufnej ożywionej pogawędce zamarł i ruch w lokalu redakcyjnym...

W kantorze tylko na dole migotało jedno światło, do którego, niby ćmy zbłąkane, przybywali od czasu do czasu spóźnieni do pracy zecerzy, aby się dowiedzieć, iż pozostali na jakiś czas bez pracy, tak jak i cały liczny personal od założyciela-wydawcy i redaktora pisma począwszy, aż na najmłodszym roznosicielu ulicznym skończywszy.

* * *

A warto zrobić przegląd tego licznego personalu redakcyi, administracyi i kolportarzu „Kuryera Porannego“, który z malutkiego świsteczka przed laty 29 założonego przez obecnego wydawcę i redaktora p. Feliksa Fryzego p. t. „Kuryer teatralny“, rozwinął się pomysłowością i pracą do jednego z najbardziej poczytnych organów prasy polskiej.

Na czele wydawnictwa stoi zawsze ten sam i taki sam, choć już dziś osiwiały Feliks Fryze, dziecko Warszawy, który, zaczerpnąwszy nauki w Szkole Głównej, a pomysłowości i ducha wydawniczego za pobytu w Ameryce (r. 1876) założył „Porannego“ na tak trwałych podstawach postępowo demokratycznych, iż pismo przetrwało lat tyle z niewyczerpanym zapasem żywotności aby ją nareszcie spożytkować skutecznie z chwilą, którą przeczuwał Fryze niejednokrotnie jeszcze przepowiadając w dobie największych utrudnień wydawniczych:

„A zobaczycie, że ja jeszcze doczekam się, iż Kurjer Poranny wychodzić będzie bez cenzury“.

I doczekał się!

Ale wraz z tą wiosną kwietniową, zawodną, zmienną, doczekał się jeszcze powrotnego stanu oblężenia, który zawiesił i powrotnego wichury ogolnej i żywot pisma chwilowo i żywot jego założyciela i redaktora w Warszawie, z którą zrósł się Fryze duszą całą, sercem całem.



Zawieszenie „Kuryera Porannego“ w Warszawie: Redaktor i wydawca „Kuryera Porannego“ Feliks Fryze przy biurku redakcyjnem.

Jakże mu ją trudno opuścić teraz tak naraz, w ciągu 24 godzin i to z rozkazu!

Jak mu trudno opuścić to biuro redakcyjne, w którem go widzimy na naszej ilustracyi przy pracy, w którem na czele zwartej kohorty pracowników czuwa nad tem „pogotowiem publicystycznem“ osobiście nocami od lat 29, osiwiały dziś szeregowiec i wódz, jakby latarnik nadmorski, u którego światło całonocne gaszą zawsze dopiero promienie wschodzącego słońca! Fryze musi opuścić Warszawę, ale da Bóg nie na długo — jeśli nie odniesie skutku przedstawienie oparte na świadectwie lekarzy, stwierdzającem nieuleczone dotkliwe następstwa po wypadku złamania prawego ramienia, jakiemu Fryze uległ przed kilku miesiącami...

Odjeżdżającego będzie Warszawa żegnać bardzo serdecznie, gdyż przyjaciół ma Fryze bardzo wielu w Warszawie, a na ich czele jako zastępca redaktora-wydawcy i jego następca stoi bratanek **Ludwik Feliks Fryze**, którego portret załączamy.

Młody, energiczny, dziedziczący wraz z imieniem i wydawnictwem „Porannego“ i jego sympatye, usprawiedliwia to osobistemi zaletami umysłu wykształconego studyami na uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, a następnie w Niemczech w Lipsku, Getyndze jakoteż w Paryżu, wzbogaconego pobytem we Włoszech w zakresie wiadomości społecznych i specyalnie historyi sztuki. Powołany przed latu 7 do boku spracowanego redaktora, wniósł do „Kuryera Porannego“ cały zapas młodzieńczej energii, siły i nowych młodszych stosunków, które zasiliły wiecznie młody, ruchliwy nastrój wydawnictwa i ze-



Zawieszenie „Kuryera Porannego“ w Warszawie: Członkowie redakcyi „Kuryera Porannego“ z p. Feliksem Fryzem, naczelnym redaktorem w pośrodku.



Zawieszenie „Kuryera Porannego“ w Warszawie: Jan Czempiński, sekretarz redakcyi „Kuryera Porannego“.



Zawieszenie „Kuryera Porannego“ w Warszawie: Zastępca redaktora „Kuryera Porannego“ Ludwik Feliks Fryze.

strój koleżeński współpracowników. Dzięki temu wśród ostatnich przemian stanął „Kuryer Poranny“ odrazu na posterunku postępowej demokracyi polskiej, śmiało torując drogi tym zasadom.

W pracy tej znalazł młody redaktor dzielną pomoc w sekretarzu redakcyi pozyskanym już dawniej w osobie młodego publicysty Jana Czempińskiego, który jeszcze jako student uniwersytetu rozpoczął swą praktykę naprzód w „Gazecie Polskiej“ następnie zaś w „Kuryerze Porannym“ gdzie od lat już 12 pracuje.

Obaj ci młodzi pracownicy kierowali już samodzielnie kilkakrotnie w czasie dłuższych wyjazdów redaktora nawą „Kuryera Porannego“, tak iż również i teraz pod przymusową jego nieobecność podołają dzielnie spadającym na ich barki obowiązkom i odpowiedzialności.

Podzielą je szczerze i ochoczo liczni współpracownicy pisma których grono przedstawiamy na załączonej ilustracyi.

Wreszcie jeszcze jedna zwarta grupa roznosicieli „Kuryera Porannego“, z których dziś nie jeden uwięziony za praktykowanie niedozwolonego kolportażu. Dziwna to ta falanga „wróbli“, jak ich ktoś trafnie nazwał, czubiących się nieraz, że aż pierze lecą, a wiecznie żyjących gromadnie, wiecznie, czy pogoda czy słota, czy gorąco czy mróz, ćwierkających swoje charakterystyczne: „Kuryer Poranny“.

To też i dziś, chłopak taki na pytanie co pocznie bez „Porannego“, odpowiada wesołym świergotem:

— Nic to, proszę pana, fracha! Ale za to jaki będzie zarobek przy pierwszym numerze „Porannego“, gdy wyjdzie z „ula“.

Omega.

Nowy minister spraw zagranicz. we Włoszech.

W ubiegłym miesiącu ukonstytuował się w Rzymie nowy gabinet, na którego czele stoi jeden z najzdolniejszych polityków, Fortis. Nowy gabinet ma w swoim składzie kilku wybitnych mężów stanu. Tekę ministra spraw zagranicznych poruczył Fortis p. San Giuliano.

San Giuliano pisał przed paru laty w dziennikach niesłychane rzeczy o Austro-Węgrzech, oskarżał je o niegodziwe zamiary co do półwyspu bałkańskiego, wyklinał monarchię austro-węg. za to, że posiada Tryest. Istryę i kawał ziemi w południowym Tyrolu, zamieszkały przez ludność włoską. Dziś został ministrem spraw zagranicznych i nieraz znajdzie się w trudnem położeniu, gdy mu wypadnie rozmawiać z posłem austro-węgierskim.

Takby się zdawało; ale p. San Giuliano nic sobie z tego z pewnością nie robi. Przecież dyplomacya polega właśnie na ukrywaniu myśli i zamiarów, na kłamliwej grzeczności i uprzejmości w wypadkach, w których chodzi o „podstawienie nogi“ — jak się zwykle mówi.

Poseł austro węgierski doskonale zdaje sobie sprawę z tego, że Włosi nienawidzą Austryi, że pragnęliby, gdyby się tylko sposobność po temu nadarzyła, zagarnąć Tryest, Istryę, Tyrol południowy, a gdyby się udało, to i coś więcej w dodatku. Obojętnem jest przeto, czy pisał o tem któryś z nich zanim został ministrem, czy tylko rozmawiał w poufnem kółku przyjaciół.

San Giuliano jest dzisiaj człowiekiem jeszcze młodym, obdarzonym genialnemi zdolnościami politycznemi. We Włoszech znany jest ze swej dawnej publicystycznej działalności, dzięki której zdobył sobie ogromną popularność. Mianowanie go ministrem spraw zagranicznych jest wielce znamiennym dowodem uczuć, jakie rząd włoski żywi do Austro-Węgier.

W uzupełnieniu artykułu podajemy w dzisiejszym numerze portret nowego ministra.



Nowy minister spraw zagranicznych we Włoszech: San Giuliano, nowo mianowany minister spraw zagranicznych.

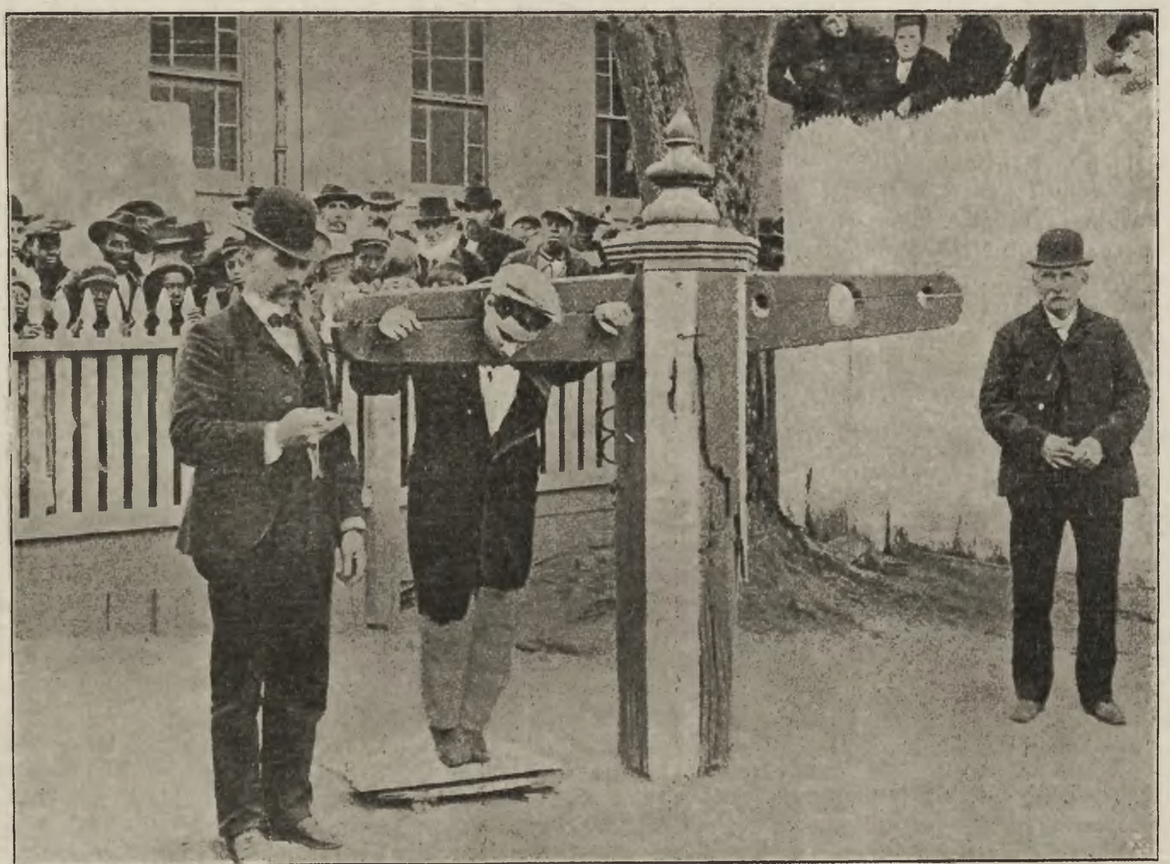
Przywrócenie kary cielesnej w Ameryce.

Natura ludzka, pomimo, iż z biegiem wieków, z rozwojem cywilizacyi, coraz bardziej się uszlachetnia, nie potrafiła się jednak dotychczas wyzbyć pierwiastków zła. Do dziś dnia najrozmaitsze przestępstwa są na porządku dziennym, jakby na stwierdzenie faktu, że zło jest taksamo wszczepione w duszę człowieka, jak pierwiastek dobra, że na naturze ludzkiej krwawą plamą odbija się ciągle jeszcze Kainowe piętno.

Za przestępstwo czeka każdego człowieka kara. Nie mówiąc już o wyrzutach sumienia, będących może najcięższą karą dla człowieka, sami ludzie



Zawieszenie „Kuryera Porannego“ w Warszawie: Grupa roznosicieli „Kuryera Porannego“ przed lokalem administracyi.



Przywrócenie kary cielesnej w Ameryce: Kara „słupka" dla małoletnich przestępców na podwórzu więzienia w Wilmington w Stanach Zjednoczonych.

ustanowili kary, wymierzane za przestępstwa przez władze państwowe. Celem kary jest zmniejszenie liczby przestępstw, a dla osiągnięcia tego celu, powinna ona odpowiadać zasadom pożyteczności i sprawiedliwości. Ażeby była pożyteczną, musi być odstraszającą i poprawczą; ażeby była sprawiedliwą, musi być odpowiednią do winy, ogólną dla wszystkich.

Z pomiędzy kar na szczególną uwagę zasługują kary cielesne. W ostatnich lat dziesiątkach kar tych zaniechano, wychodząc z założenia, że kara cielesna nie tylko nie wywiera pożądanego skutku, ale wprost przyczynia się do utrzymania przestępcy w uporze. Chłosta publiczna, przed oczyma setek ludzi odbyta, powoduje — jak sądzono — zanik wstydu i wskutek tego nie jest odpowiednią.

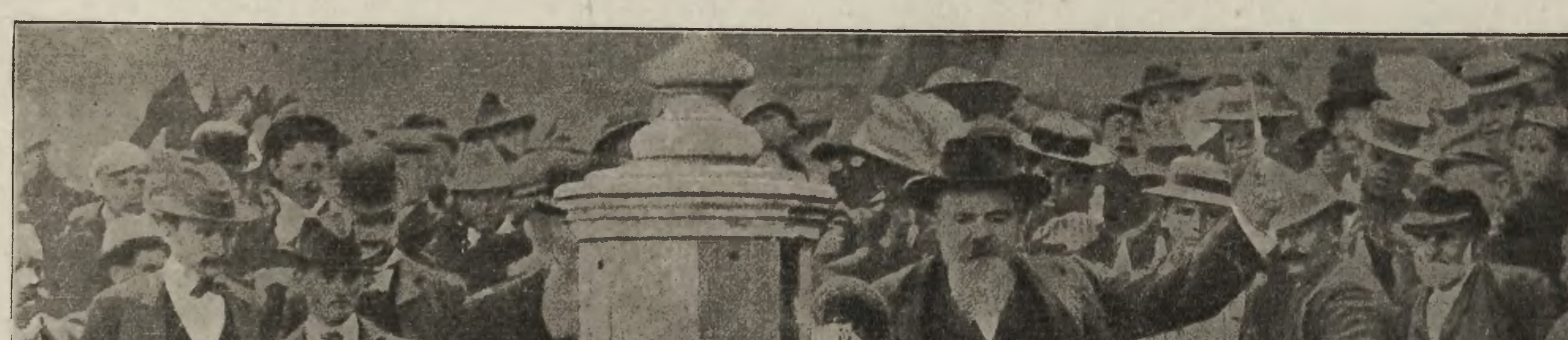
W ostatnich czasach przywrócono jednak karę cielesną i to w Ameryce, która w dziedzinie postępu i reformy kodeksu karnego wyprzedziła już dawno cywilizowaną Europę. Dość wspomnieć, że w Ameryce po raz pierwszy wprowadzono system kary warunkowej, to znaczy, że za małe przestępstwo nie zamykano winowajcy do więzienia, ale uwalniano go pod warunkiem, iż, jeżeli drugi raz popełni przestępstwo, zostanie skazany na znacznie większą karę. To chyba najlepszy dowód, że Amerykanie dobrze się zastanawiali nad karami i rzeczywiście pod tym względem, jak i pod wielu innymi, przodowali Europie. I właśnie w Ameryce chwycono się znowu kary cielesnej, jako najlepszej i najbardziej skutecznej za pewnego rodzaju przestępstwa.

System kar cielesnych zaprowadzono naprzód w mieście Wilmington w Stanach Zjednoczonych. Przestępców, o których wiedziano, że mogą się jeszcze poprawić, skazywano na chłostę, wymierzaną w miejscu publicznem, na dziedzińcu więzienia. Każdy obywatel ma prawo przyglądania się chłoście. Winowajcę przykuwają mianowicie do słupa, w ten sposób, że rękoma ani głową nie może ruszyć, jak to zresztą widać najlepiej na naszej rycinie, a jeden z wykonawców sprawiedliwości chłoszcze go po obnażonych plecach. Przy egzekucyi obecny jest również lekarz, czuwający nad tem, aby winowajca nie poniósł ciężkich szkód na ciele. Karę tę stosują sędziowie amerykańscy szczególnie w wypadkach wiarołomności małżeńskiej. Jeżeli np. mąż nie obchodzi się z żoną jak należy, wymierza mu się publiczną chłostę. Jeżeli żona męża zdradza, skazuje się ją również na chłostę. W tym wypadku chłostę wymierzać jej może jedynie jej mąż. Kto wie, czy to nie jest właściwsza droga do przywrócenia spokoju w małżeńskich stadłach, aniżeli rozwody i tym podobne rzeczy. I kto wie, czyby taka kara i u nas nie znalazła życzliwego przyjęcia tak ze strony pewnych mężów, jak i pewnych kobiet.

Drugi rodzaj kary cielesnej, uwidoczniony również na naszej rycinie, jest może jeszcze bardziej ciężki, jak pierwszy. Stosują ją zwłaszcza do przestępców małoletnich, aby im odebrać ochotę do popełniania czynów, z prawem niezgodnych. Przestępca taki musi przez pewien czas zawisnąć na przyrządzie, podobnym do szubienicy, z głową i rękoma włożonemi w otwory, silnie zaciśnięte. Przy tej egzekucyi jest również obecny lekarz.

Amerykanie są przekonani, że kary cielesne, zwłaszcza publiczne, są znacznie skuteczniejsze, aniżeli kary więzienia. Bardzo możliwe, że mają i racyę.

W uzupełnieniu artykułu zamieszczamy obok dwie ilustracye. Jedna z nich przedstawia karę słupka, stosowaną szczególnie do przestępców małoletnich, druga karę chłosty publicznej na niewiernym małżonku.



Przywrócenie kary cielesnej w Ameryce: Publiczna kara chłosty, odbywająca się na podwórzu więzienia w Wilmington w Stanach Zjednoczonych.



Władysław Wojdałowicz.

Władysław Wojdałowicz.

Najlepszy wykonawca repertuaru Bałuckiego i Blizińskiego, Władysław Wojdałowicz w talencie swoim posiada cechy pokrewne obu autorom. Śmiech ma szczery, ciepły, jowialny, grę wyrazistą, realizm — Blizińskiego, który z wyrozumiałością „dobrego człowieka“ patrzył na stosunki i czyny ludzkie. Malował niewątpliwie wiernie, ale zabarwiał — rozgrzeszeniem. „Werniksował“ — jak wyraża się jeden z krytyków warszawskich.

Wojdałowicz w traktowaniu postaci ujemnych lub dramatycznych posiada tę samą cechę. Werniksuje.

W humorze jowializmu, w figurach szlagonów starej daty, w mieszczuchach, co nie przeszli burz życiowych, zachowując „wesołą“ starość, Wojdałowicz jest niezrównany. Warszawa kocha go też jako dziadunia w „Grubych rybach“, „Pana Damazego“ Blizińskiego, Telesfora w „Domu otwartym“ i w tylu innych kreacyach swojskich i zagranicznych (Sardou, Suderman itd).

Karyerę sceniczną Wojdałowicz rozpoczął w 20 roku życia na scenie teatru krakowskiego w r. 1876. Kierował wówczas teatrem Stanisław Koźmian.

Nie długo czeka na pierwsze epolety. Koźmian wyróżnia go z pośród „młodych“ i z coraz większem zaufaniem powierza Wojdałowiczowi odpowiedzialne role.

W r. 1883 na wybitne stanowisko dąży już do Lwowa, pod dyrekcyę Jana Dobrzańskiego, skąd po 8 latach przybywa do Warszawy.

10 gościnnych występów i gorące przyjęcie przez prasę, otwiera Wojdałowiczowi bramy teatrów warszawskich.

Od r. 1891 stale już pracuje w szeregach „rządowych“ artystów, stojąc w frontowym ich rzędzie.

W r. b. upływa 30 lat od wstąpienia Wojdałowicza na scenę, z tego 15 spędzonych na scenie warszawskiej.

Przybywa nam zatem jeszcze jeden „jubilat“, ale tym razem obchód jubileuszowy nie ma nic wspólnego z „likwidacyą“.

Wojdałowicz w pełni sił i zdrowia obiecuje wiele wieczorów i wiele kreacyi serdecznych i ciepłych.

Że dotrzyma — wierzymy. *Lubicz.*

Marya Tracikiewiczówna.

Uroczy ten słowiczek, zachwycający obecnie czułych nie tylko na piękny dźwięk głosu tudzież artyzm, lecz także i na niewieście powaby warszawiaków — wyląg! się w słynnej na całą Polskę nadpełtwiańskiej „wylęgarni słowików“ we... Lwowie, gdzie niemowlęcemi jego kroczkami w dziedzinie belcantu kierował poważny, doświadczony maestro tamtejszego konserwatoryum. Potem zaznajamiała ją z tajnikami i arkanami śpiewu tęga śpiewaczka i niepowszednia maestrina p. Aleksandra Dąbrowska. W r. 1904 zdołała ją pozyskać scena lwowska, na której była promienną ozdobą personalu operetkowego. Lecz nie na długo — bowiem ówczesny reżyser i kierownik opery lwowskiej Chodakowski, ujęty pięknym, zdrowym i bynajmniej nieoperetkowym głosem młodocianej a niecodzienną pięknością obdarzonej śpiewaczki, która, mówiąc nawiasem, wówczas nie liczyła sobie nawet dwudziestu wiosen — i jej wybitnym talentem scenicznym, przeniósł ją do opery. Kiedy po nieudałym sezonie operowym drapnął p. Chodakowski do Warszawy, pamiętał o obiecującym talencie Tracikiewiczównej i organizując nowy sezon w Warszawie pospieszył i ją zaangażować.



Marya Tracikiewiczówna.

Tracikiewiczówna, znalazłszy się wśród warunków artystycznych i wśród pracy dla siebie odpowiedniej, rozwinęła swój talent i stała się wkrótce już bardzo użyteczną artystką, lubianą i oklaskiwaną przez znawców w partyach oper Moniuszkowskich, a poza tem w partyach takich jak Micaela (Carmen), Musetta (Cyganerya), Paź (Hugenoci, Romeo i Julia) i t. d. Młoda śpiewaczka (podobiznę jej podajemy w dzisiejszym numerze „Nowości“), której prasa warszawska nie szczędzi pochwał i zachęty, rokuje jak największe nadzieje.

— urs. —

Dwa rządy.

Warszawa, 10 stycznia (K. wł.)

Tajemnicą jest publiczną, iż obecnie w Warszawie mamy dwa rządy. Jeden wojskowo-administracyjny, drugi „tajny“, rewolucyjny.

Oba wymagają karności dla siebie i posłuszeństwa, choć nie jednymi środkami działają. Rewolucyoniści strzelają, mordują, zabijają kiedy chcą i kogo chcą, w dzień i w nocy, nadto rząd rewolucyjny wydaje proklamacye i odwołuje się do „solidarności“.

Zbytecznem chyba nadmieniać, iż zarządzenia obu rządów są tak biegunowo przeciwne sobie, iż o pogodzeniu wymagań niepodobna marzyć.

Gdy jeden krzyczy: czarno, drugi mówi: biało. Na tle „dwu rządów“ rozgrywają się też najtragiczniejsze wypadki dni ostatnich, choć i komicznych nie brakuje. Są bowiem tacy, co chcieliby politykować, zapaliwszy świeczkę dyabłu i Panu Bogu rewnocześnie.

W najtragiczniejszem położeniu, po zaprowadzeniu stanu wojennego, znaleźli się stróże kamieniczni, którzy dla polepszenia bytu, rzeczywiście bardzo nędznego, postanowili zastrejkować, mając za sobą upoważnienie rządu rewolucyjnego.

Biedacy przypłacili strejk swój kilkunastu trupami, nie uzyskawszy nic, gdyż wojsko zmusiło ich siłą brutalną do powrotu do jarzma.

Jak zaś wyzyskiwani są stróże w Warszawie, niech przemówi fakt, jeden z tysiąca. Na Nowym Świecie, w okolicach Alei Jerozolimskiej istnieje dom, sławny z dwu rzeczy: z restauracyi, gromadzącej liczny zastęp pół-kokot i ćwierć-kokot oraz z tego, że mieszkają w nim lokatorzy, odnajmujący pokoje kawaleryi i pojedynczym damom.

W domu takim stróż za otwieranie bramy zbiera sowite napiwki. Czy uwierzycie, że administrator tego domu pobiera od stróża pensyę miesięczną, że stróż za swoją uciążliwą, całodzienną pracę nietylko nie otrzymuje pensyi żadnej, ale dopłaca z dochodów nocnych 50 rb. na rzecz „przedsiębiorczego“ rządcy domu.

Stróżów takich jest więcej w Warszawie. Setki zaś takich, co mają po rb. 5 lub 6 miesięcznie, z czego muszą kupować miotły i wszelkie czynić reparacye utensyliów stróżowskich

Nie wspominam już o mieszkaniach istot tych, gnębionych przez „ukazy“ policyjne i prywatne wysługiwanie się pp. gospodarzom i rządcom domów, gdyż znana to historya. Mieszkają najczęściej pod schodami, w norach ciemnych i wilgotnych.

Strejk był więc konieczny i jedyny dla wywalczenia jakich takich ekonomicznych warunków.

Zaprowadzono, Bóg wie dlaczego, stan wojenny, i — trupami rozerwano łańcuch solidarności stróżowskiej.

Stróże dalej pełnią obowiązki na dawnych warunkach... Prawo pięści tryumfuje.

Prawda! Nie wszyscy stróże, bo wielu z nich, nie mogąc pogodzić się z losem, pouciekało z bram i więcej nie wróciło do zajęć...

Gdzie poszli i co robią — na razie kronika milczy o tem.

W podobnej sytuacyi do stróżów znaleźli się także liczni kupcy i przemysłowcy po zaprowadzeniu stanu wojennego. Jeden rząd kazał strejkować i sklepy zamykać, drugi kulami groził w razie opuszczenia sklepu.

Mieliśmy dlatego strejk tylko połowiczny, a potem, dzięki proklamacyi, zwalniającej od strejku, rozpoczęliśmy pracę całą siłą pary i na całej linii... Daj Boże tylko, aby owocną!

Do humorystycznych zajść, jakie przyniosła doba ostatnia, zapisuję autentyczne zdarzenie w jednym z małych, przedmiejskich sklepików.

Właścicielka sklepiku bławatnego na żądanie partyi rewolucyjnej kramik zamknęła. Po kilku minutach zjawia się u niej od „tyłu“ sam „pan naczelnik“ (rewirowy) i oświadcza, że jeśli kramu nie otworzy, weźmie ją do cyrkułu, gdzie zapłaci 300 rb. grzywny.

Właścicielka chwilkę pomyślała i odrzekła: Widzi pan naczelnik, to jest tak. W cyrkule tom już była. Karę 300 rb. to ja także płaciła... Policyę znam dobrze, ale nie znam pp. rewolucyonistów i nie wiem, co oni mogą mi zrobić... To już wolę nie otwierać sklepu i pójść do cyrkułu.

Ochoczość właścicielki do zapłacenia 300 rb. kary podobno tak „dobrze“ usposobiła „pana naczelnika“, że nie wziął jej wcale do cyrkułu, lecz po krótkiej poufnej konferencyi opuścił sklep, w raporcie zaś napisał, że „ławka“ zakryta była z powodu choroby właścicielki.

Do charakterystyki obecnego stanu wojennego dodać trzeba zamknięcie 10 pism polskich z rozkazu generał-gubernatora, rozbestwienie wojska daleko większe niż poprzednio, codzienne aresztowania gremialne i — zakaz grania i śpiewania „rewolucyjnych“ pieśni pod karą 3000 rb. lub 3-miesięcznego więzienia, w rodzaju hymnów „Boże coś Polskę“, „Z dymem pożarów“...

Autorem drakońskiego „zakazu“ tego jest wojenny generał-gubernator obecny Wejss, niemiec z pochodzenia. *Lubicz*



Plotki lwowskie.

Słówko o drożyźnie we Lwowie. – Krowy ślubują staropanieństwo i żądają zrównania z wołami. — Kamienicznicy zawstydzają administracyę podatków. – Bierna resystencya kur a masło z mózgu hofratów. – Tani opał z salonowych mebli a nafta z mózgu literatów. – Chuligani we Lwowie. – Konkurencyjna fabryka w Winnikach – Coloseum potrzebuje pół miliona. – Drogie marki pocztowe a widokówki panieńskie. — Losy gal. Czerwonego krzyża. – Moi wierzyciele a moje do nich przemówienie. – Co wygrał los? – Tegoroczny karnawał bez tańców. – Rozpacz matek i córek. – Początek listu. — Słuszne żale. – Całoroczne medytacye rozbite. – Czy ślizgawka zastąpi bale. – Co można pokazać na ślizgawce a co na balu? — Rozpacz krawczyń. – Listy do redaktorów z groźbami. — Przerabianie maszyn do szycia na armaty. – Galerya w radzie miejskiej dla pań. – Wpływ tej nowości na tok obrad. – Kto będzie dyrektorem teatru. – List prezydenta do Pawlikowskiego. – Teatr a karczma, studyum magistrackie. – Czego chce p. Pawlikowski? – Szanse p. Hellera. — Idealna dyrekcya na księżycu. — Małe postulaty z wielkim skutkiem.

Odkąd istnieje w łonie naszej rady miejskiej komisya drożyźniana, panuje we Lwowie tak niesłychana drożyzna, że o prawdziwem szczęściu mówić można, jeśli dotąd połowa mieszkańców nie wymarła z głodu i zimna i jeśli kroniki notują tylko mało wypadków ludożerstwa. Właściciele kamienic wyśrubowali czynsze tak wysoko, że aż administracya podatków rumieni się i przyznaje im pierwszeństwo; rzeźnicy podnieśli ceny mięsa tak bardzo, jakby wszystkie krowy Galicyi postanowiły strejkować, ślubowały staropanieństwo i dały sobie słowo honoru, że tak długo nie będą rodzić cieląt, dopóki nie doczekają się poprawy bytu i społecznego zrównania z wołami; przekupki lwowskie ułożyły sobie taki cennik, jakby masło wyrabiały z mózgu hofratów i jakby kury pod zagrożeniem biernego oporu nie chciały znosić jaj niżej 12 hal, za sztukę; tani opał miejski jest tak drogi i rzadki, jakby tam nie polana drzewa, ale salonowe meble najbogatszych rajców miejskich sprzedawano; nafta tak podskoczyła w cenie, jakby ją nie z kopalń borysławskich, ale z wyschniętych mózgów literatów galicyjskich pompowano — słowem: drożyzna.

Wobec takiej drożyzny trudno się dziwić, że we Lwowie pojawili się chuligani, że kupcy podnoszą na gwałt ceny towarów, że o milę od Lwowa w Winnikach robotnicy fabryki tytoniu założyli magazyn konkurencyjny, sprzedając c. k. papierosy po cenach znacznie zniżonych i urządzili we Lwowie filię tej fabryki, która jest cichym wspólnikiem rządu. Nie mogli bowiem znieść, że rząd nie zwracając uwagi na powszechną drożyznę, pobiera tak wygórowane ceny za tytoń i papierosy. Chcieli więc użyć nędzy ludzkiej i dlatego pójdą do kryminału.

Wreszcie i lwowskie Colosseum stale podwyższa ceny wstępu, czemu się wcale dziwić nie można, skoro się zważy, że ta pożyteczna instytucya musi wyciągnąć ze Lwowa przeszło pół miliona rocznie, jeżeli przedsiębiorca niema z własnej kieszeni wyrównać deficytu... Jeszcze mniej można się dziwić prasie lwowskiej, która uznając potrzebę tej instytucyi, gorąco, w wymownych słowach zachęca publiczność długimi artykułami do pilnego uczęszczania do Colosseum... Tynglówki berlińskie, akrobaci, dyrektorowie teatrów pcheł, tresownicy kotów i myszy, klowni i cykliści, wywożą ze Lwowa rocznie pół miliona a prasa lwowska, która nie przestaje skarżyć się na drożyznę, gorąco zachęca ludzi do oglądania „niebywałych“ programów... Ale to zachęcanie ma także swój powód — w drożyznie...

Uwzględniając drożyznę powszechną, postanowiło ministerstwo handlu podnieść opłatę portoryum za listy i telegramy, co wywołało powszechną radość. Poczta nie mogła pozostać w tyle, zwłaszcza, że listonosze skarżą się na swoją dolę, na redukcyę datków noworocznych itd. Można się więc spodziewać, że marki pocztowe podrożeją już w najbliższym czasie, ale za to listonosze za lat kilka doczekają się podwyższenia płacy o dwie lub trzy korony na miesiąc. Ponieważ jednak sami listonosze także kupują marki pocztowe, więc jest nadzieja, że oni sami zwrócą tę nadwyżkę płacy rządowi a tyle milionów ludzi płacić będzie podatek pocztowy dla wzmocnienia finansów ojczyzny. Za to teraz wolno nam będzie słusznie pisać: otrzymałem twój drogi list... Panienki, to jest te stworzenia, które od czasu wprowadzenia w świat widokówek pocztowych, w znacznej części przyczyniają się do świetnego stanu finansów poczty i zasługują sobie na błogosławieństwo każdoczesnego ministra handlu, już dziś myślą nad ograniczeniem swoich potrzeb i zredukowaniem innych wydatków, byleby jak najwięcej zostało na marki, na listy, na widoczki... Na te marki, którym tyle panien zawdzięcza mężów, kocharków, posady...

Ażeby bodaj w części zaradzić wielkiej drożyźnie i wzbogacić biedaków, wypuszczono aż pięćset tysięcy losów galic. Czerwonego krzyża. Loterya liczbowa, która ma ten sam cel, okazała się niewystarczającą a nadto zbyt wulgarną. Zeszła ona tak daleko na psy, że „lepszy“ człowiek wstydzi się postawić trzy numery, choćby jak pewne. Jeśli nawet stawia, to ukradkiem. Było więc jeszcze wielu ludzi średniej klasy, wielu reprezentantów błyszczącej, złotej nędzy i na nich puszczono koronowe losy galicyjskiego Czerwonego krzyża. Znalazło się tak wielu kandydatów na „haupttrefera“ (12.000 koron w gotówce), że nawet nie trzeba było odraczać ciągnienia. A rezultat?

Pech galicyjski chciał, że drugą wygraną wziął ktoś w Pradze a zaledwie trzecią w kwocie 3000 koron (2400 kor. w gotówce) wygrała jakaś pani ze Stanisławowa. Główna wygrana, 15.000 koron, padła na los sprzedany, ale dotąd właściciel losu nie zgłosił się po odbiór pieniędzy. Może nie wie, a może wstydzi się, a może boi się władz podatkowych lub wierzycieli.

Za to lepszy los spotkał waszego kronikarza. Wierzyciele moi, którzy przez pierwszych kilkanaście dni w miesiącu chodząc do mnie, jak do najbardziej wziętej kawiarni, spalają mi papierosy i wypijają, gdzie co znajdą stosownego, dokuczali mi już tak bardzo, że zaprosiłem ich wszystkich na oznaczoną godzinę, ażeby raz ich zaspokoić. Stawili się co do jednego i każdy z nich miał tylko słodycz na ustach. Myśleli, że dziś płacę wszystko. Gdy ostatni, na którego najdłużej czekaliśmy, bo właśnie odbierał pieniądze od oficera, zjawił się w mojem mieszkaniu, wylazłem na krzesło i wygłosiłem następujące krótkie, ale pełne godności przemówienie:

„Moi panowie! Wiem, że przyszliście tu do mnie, bo potrzebujecie pieniędzy. (Ogólne potakiwania). Rozumiem to bardzo dobrze i chcę was wszystkich bez wyjątku zaspokoić. (Huczne oklaski, liczne gratulacye na prawicy i w centrum, niedowierzanie na lewicy). Mój bowiem honor nie pozwala mi krzywdzić nikogo (brawa nieustające) i chcę, byście panowie i nadal byli ze mnie zadowoleni. (Głosy: i owszem, proszę bardzo!) Ponieważ jednak nie mam chwilowo gotówki a liczne i mozolne poszukiwania za jakimś dobrym i pewnym bankiem, któremubym mógł z całym spokojem powierzyć moje zaufanie i wziąć na weksel grubszą kwotę, spełzły na niczem (głuchy pomruk), przeto znalazłem inny sposób, który powinien panów zadowolić. (Pytania: Nu, nu...) Oto zakupiłem u firmy Schütz i Chajes nasz krajowy galicyjski los czerwonego krzyża a sam p. Wiktor Chajes zaręczył mi, że na los ten może paść główna wygrana. (Małe niezadowolenie i pomruk). Oświadczam więc panom, że los ten składam u rzeczonej firmy na rzecz panów do depozytu z poleceniem, by firma panom wypłaciła wszystkie pretensye wasze do mnie na wypadek wygranej“.

Gdym skończył i zlazł z krzesła, nie widziałem już moich wierzycieli, prócz jednego. Był to najbardziej cierpliwy — ten sam, który przyszedł ostatni.

— Wiesz pan co — rzekł — niech będzie ten los tymczasem — i wziąwszy los, poszedł.

I co powiecie na to? Szelma miał szczęście. Wygrał scyzoryk wartości 30 hal. A ja właśnie tak bardzo potrzebowałem go, bo odkąd mój fryzyer podwyższył mi abonament, postanowiłem golić się sam w domu. Pech to pech... Ale za to pozbyłem się wierzycieli na cały miesiąc — i to moja najgłówniejsza wygrana.

Troszczyłem się już, skąd wyrwać grosze na tegoroczny karnawał, gdy dowiedziałem się na szczęście, że delegaci wszystkich prawie stowarzyszeń lwowskich postanowili w tym roku zaniechać zabaw z tańcami. A więc nie będziemy tańczyć! Zaraz po tej uchwale otrzymałem od znajomej pani następujący list: „Szanowny Panie! Zwracam się do pana z prośbą o napiętnowanie lekkomyślnej uchwały tych niby delegatów stowarzyszeń lwowskich, a czynię to jako matka trzech córek. Czy ci panowie zastanowili się nad tem, jaką niepowetowaną krzywdę wyrządzają tylu pannom i matkom, znosząc jednym zamachem tegoroczny karnawał, na który tak długo czekały, przywiązując doń wielkie nadzieje. Kiedyż więcej ludzie są skłonni do małżeństw, kiedy panny lepiej się prezentują, kiedy lepszy czas do nawiązywania znajomości i stosunków! Łatwo było uchwalać kilku facetom, którzy czas karnawałowy uważają za porę, kiedy „można polować“ wedle kalendarza myśliwskiego, za czas dla nich wprost niebezpieczny, a którzy bawić się tam to będą na redutach, gdzie i lepiej się bawić można i mniej niebezpiecznie. Znam ja ich, tych egoistów, tych...“

Dalszej części listu nie przytaczam w dosłownem brzmieniu, bo mama trzech córek, widocznie zirytowana i słusznie podrażniona, wymyśla tak bardzo naszej młodzieży, iż z każdego epitetu zieje wulkan. Można jej trzem przyszłym zięciom już naprzód pogratulować. Ale inna rzecz, że mama ma racyę. Nigdy kawalerowie tak nie wpadają, jak w karnawale, nigdy panny ponętniej nie wyglądają a czas nagli... Do najbliższego karnawału nie tylko panny postarzeją się o rok, ale i kawalerowie, którzy z każdym rokiem przybierają na wadze i ospałości. Niejedna z naszych pięknych już cały rok medytuje i układa, co ma ubrać na bal techników a co na bal prasy, z kim będzie tańczyć kadryla, co powie panu Karolowi, a co jej powie pan Stanisław, co sobie o tem pomyśli jej przyjaciółka od serca — gdy naraz jedna uchwała delegatów rozwiała wszystkie sny..

Co pannom zastąpi karnawał? Nic... Ślizgawka? Nie każda się ślizga a potem — mówcie, co chcecie — nigdy panna na ślizgawce nie będzie tak ponętną, jak na balu... To zresztą zależy od usposobienia. Niektóre nawet sinieją na lodzie, oczka i noski im łzawią, koniuszki nosów zabarwiają się na fioletowo... brr... Inaczej na balu... Tu można pokazać szyjkę cudnie białą i kształtną a nawet dalej... A potem fryzura, rumieńce, strój... Mówcie, co chcecie, to całkiem co innego. Ślizgawka obok balów dużo zrobi, sama ich nie zastąpi, nie...

W rozpaczy są także krawczynie... I one czekają długo na karnawał, a tu jak grom spadła wieść o zaniechaniu zabaw... Zasypują więc redakcye dzienników listami, w których grożą, że żony i córki redaktorów bez jednej sukni modnej będą musiały spędzić sezon zimowy, jeśli dzienniki nie naprawią szkody. Krąży nawet niesprawdzona dotąd pogłoska, że wszystkie maszyny Singera & Comp. mają zamiar krawczynie przerobić na armaty albo maszyny piekielne... Co dalej, nietrudno się domyśleć.

Jedyną rekompensatą za utracony karnawał dla naszych pań będzie teraz lewa galerya w sali posiedzeń naszej rady miejskiej, którą zarezerwowano teraz dla nich wyłącznie. Okoliczność ta wpłynie bardzo korzystnie na tok obrad, bo samo przez się rozumie się, że niejeden z ojców miasta ugryzie się w język, ile razy zbierze go chętka palnięcia jakiegoś głupstwa. Zawsze to jakoś wobec pań nie uchodzi... Za to z drugiej strony będzie sala rady areną popisową dla wielu oracyj w fejletonowej błyskotliwości bańki mydlanej, pięknej na oko i wywołującej oklaski a próżniutkiej w treści i anemicznej, jak dziecko naturalne z matki aktorki i ojca literata..

Poza tem zajmujemy się żywo teatrem. Nie sceną, repertuarem i aktorami, nie operą z dyr. Grąbczewskim na wierzchołku, nie budką suflera i wychodzącym stamtąd głosem wołającego na puszczy — ale sprawą obsady dyrektorskiego fotelu, czyli sprawą wydzierżawienia teatru na dalszy okres sześcioletni. Pawlikowski miał powiedzieć że już ma dość, że nie chce dalej dokładać, więc prezydyum miasta wystosowało do niego list, zachęcając go do dalszego dokładania, nazywając to może i nie bez racyi ofiarnością. Dzienniki gniewały się na p. prezydenta za ten list, twierdząc, że to nominacya a nie konkurs. Pan prezydent Michalski wyjaśnił, że ile razy magistrat wydzierżawia komuś karczmę, pisze do dotychczasowego dzierżawcy taki list. Rada przyjęła to wyjaśnienie do zatwierdzającej wiadomości. Pan Pawlikowski chce, by teatr umiastowiono, a w takim razie zgodziłby się na objęcie posady płatnego dyrektora — tak przynajmniej twierdzą wtajemniczeni. Ale jeszcze lepiej wtajemniczeni powiadają, że miasto na taki eksperyment nie może się zdobyć i nie zdobędzie się, mając dość własnych kłopotów.

W każdym razie zainteresowanie ogromne, dzienniki wytaczają już swoje działa i strzelają to w jedną, to w drugą stronę, rajcowie miasta zachodzą w głowę nadaremnie, artyści żywo omawiają przesilenie teatralne, pamiętając zresztą słusznie o sobie, a chórzystki nie mogą zrozumieć, dlaczego p. Pawlikowski, mając pod swoją ręką tyle przystojnych chórzystek, chce opuścić teatr lwowski i wyjechać do Paryża.

Nie wyjedzie, zostanie, nie twórzcie się gołąbki... Niech tylko magistrat odpisze zaległy podatek wodociągowy w kwocie 40 i kilku tysięcy, niech tylko kto pomówi z p. Pawlikowskim, niech tylko kto wygłosi ognistą mowę na radzie miejskiej a będzie wszystko w porządku, w dawnym porządku..

Klerc.

Felicya Romanowska.

Polskich śpiewaczek, oddających się zawodowo kunsztowi estradowemu tylko, posiadamy bardzo mało. — W Polsce, gdzie publiczność koncertowa żądna jest coraz to świeższych nowości, i to nie tylko w utworach — lecz i w wykonawcach, zawód śpiewaczki lub śpiewaka koncertowego byłby najprostszą, a może i najkrótszą drogą do... śmierci głodowej, jeżeliby dany artysta zechciał śpiewać tylko „swoim“. Wkrótce sprzykrzyłby się słuchaczom, zmuszony z natury rzeczy występować na ograniczonej ilości estrad; spowszedniałby i poszedł w zapomnienie. — Naszej publiczności smakują najlepiej te kąski, które jej poleci obcy krytyk — pochwali obca „gazeta“ — a śpiewak milszy jest jej sercu nawet wówczas, gdy śpiewa po włosku, po francusku, a nawet po niemiecku. — Na szczęście nasze, najwybitniejsze artystki zaliczają się także do najwybitniejszych śpiewaczek kontynentu i to właśnie stawia je w opinii naszych snobów koncertowych tak wysoko. — Do najwybitniejszych artystek fachu estradowego, a raczej najwybitniejszą u nas z tej dziedziny, jest p. Felicya Romanowska, artystka naprawdę z Bożej łaski, o sławie już dobrze ufundowanej zarówno u obcych jak i u swoich. Pięknie zapisane na kartach naszej literatury nazwisko potrafiła artystka talentem i pracą utrzymać odpowiednio i w tej dziedzinie artyzmu, w której pracuje. — Pani Felicya jest bratanicą Mieczysława Romanowskiego „poety serca“, który gorącą miłość ojczyzny przypieczętował krwią własną.

W Żukowie, pięknej wiosce ruskiej pod Obertynem, pamiętnym zwycięstwem Jana z Tarnowa, stała kolebka naszej artystki, której lata dziecięce upłynęły wśród licznej szlacheckiej rodziny, jednej z najwybitniejszych w okolicy. — Pierwsze studya odbywała u Walerego Wysockiego, który polecił ją następnie opiece Lampertiego (ojca) w Medyolanie. — Po kilkuletniej nauce wystąpiła w Pa mie Piacenzy, Turynie itd. śpiewając z wielkiem powodzeniem partye Rozyny (Cyrulik Sewilski), Królowej (Hugonoci) Carmeny itd.



Felicya Romanowska.

Ze scen włoskich przeniosła się Romanowska na sceny niemieckie. — Tu zdecydowała się ostatecznie karyera artystki. Porzuca scenę i po świetnie odbytych koncertach dworskich w Stuttgardzie, rozpoczyna karyerę koncertową, która jej, — osobie wykształconej i wysoce dystyngowanej, najlepiej odpowiadała. Romanowska śpiewa odtąd z powodzeniem w całych Niemczech, Francyi a także i u nas. Kilka koncertów, nazwanych przez nią skromnie „Wieczorami pieśni“ — danych w Filharmonii warszawskiej, ustaliło jej sławę i uczyniło ulubienicą najdystyngowańszej publiczności warszawskiej. — Ujęta powodzeniem wśród swoich, urządza Romanowska koncerty w Królestwie, we Lwowie, a także przyjmuje uprzejmie zaproszenia na koncerty w Galicyi, darząc spragnionych prawdziwego piękna śpiewaczego — „prowincyałów“ naszych, — niezrównanie podawanemi piosnkami polskiemi, a nadto artystycznie, tudzież z wielką finezyą wycyzelowanemi piosnkami starofrancuskiemi.

Zbytkowną byłoby rzeczą podawać choćby tylko wyciągi z licznych entuzyastycznych referatów o występach polskiej śpiewaczki, pisanych przez arystarchów zagranicznych — lub też gorących pochwał, oddawanych jej przez naszą prasę.

Zanim znakomita śpiewaczka opuści na kilka miesięcy swój kraj rodzinny, aby zadość uczynić zobowiązaniom swym wobec impresaryów Ameryki północnej i podąży za ocean, usłyszymy ją wśród nas w Krakowie jeszcze w tym miesiącu.

—urs.—

We własnej sieci.

Współczesna powieść kryminalna.

Z angielskiego przełożył M. S.

22 (Ciąg dalszy).

Klaus ruszył przodem i przeprowadziwszy Archera przez wąski korytarzyk, w którym swąd pieczeni i innych przysmaków dowodził, że gospodarz prowadził także kuchnię dla swych gości, wwiódł Amerykanina do małej, ale czystej i porządnie umeblowanej izdebki. Archer myślał, że w pokoju niema nikogo, ale gdy weszli, zerwała się z kanapy młoda kobieta, którą ukazanie się Klausa widocznie wprowadziło w niemały kłopot. A miała ku temu przyczyny, bo olbrzym zaklął wściekle i spytał jej z nietajonym gniewem, czy w domu niema nic lepszego do roboty, jak tylko wylegiwać się bezczynnie. Kobieta z płaczem odpowiedziała cicho i pokornie, że cierpi na straszny ból zębów, a Klaus zwymyślał ją ostatniemi słowy i z podwójną uprzejmością prosił Archera, aby wyciągnął się na kanapie. Amerykanin poczuł litość nad biedną kobietą, z której postaci widać było, że gburowaty mąż nie najlepiej musi się z nią obchodzić, ale zachowując swą rolę na pół ucywilizowanego człowieka, nie dał tego poznać po sobie i z przyjemnością wyciągnął się na kanapie.

Z ustawicznem ziewaniem zgodził się, żeby Klaus przyniósł mu jeszcze szklankę grogu, potem zamknął oczy, przewrócił się twarzą do środka pokoju, i zaczął udawać śpiącego. A tymczasem biedna kobieta, drżąca i przestraszona, stała przy drzwiach, a w twarzy jej malowało się takie cierpienie, że nawet twarde serce Klausa wzruszyło się trochę, bo rzekł do niej gburowato:

— Cóż ty dzisiaj wyprawiasz z temi zębami? Tam w szafce stoi jeszcze flaszka z chloroformem. Zmaczaj w niej kawałek waty i włóż sobie do ucha, ale uważaj! Widziałaś na tym starym, że to niebezpiecznie wąchać za wiele z tego kordyału!...

Klaus nie mówił tego po cichu, bo jego gość zasnął już i chrapał na dobre, a oprócz tego nie umiał ani słowa po niemiecku, jak tego dowiódł w szynkowni. Prócz tego w słowach tych nie było nic podejrzanego, a Klaus nie spodziewał się nawet, że handlarz skór z Ameryki był jednym jedynym człowiekiem na świecie, przed którym nie powinien był nigdy odzywać się z czemś podobnem.

Fred Archer zaś z trudem zaledwie pokonał swoje wzruszenie, gdy posłyszał tę wskazówkę, która dla niego miała wprost nieocenioną wartość.

Klausowa wprawdzie skinęła potakująco głową na słowa męża, ale równocześnie szalony przestrach i smutek zarysował się na jej zgnębionej twarzyczce i gdy Stefan opuścił izbę, bynajmniej nie myślała pójść za jego radą. Amerykanin otworzył tymczasem cokolwiek oczy i dostrzegł, że kobieta przypatruje mu się z jakąś dziwną ciekawością, ale też i z jakiemś takiem współczuciem, które mówiło mu, że nie jest tu chyba bardzo bezpieczny. Ale Archer nie bał się o siebie. Był silny, nie brakło mu odwagi, miał też przy sobie rewolwer, i wiedział dobrze, gdzie się znajduje, więc nie dałby się zaskoczyć niespodziewanie. Chodziło mu raczej o coś innego. Oto chciał choć na chwilę sam jeden zostać w pokoju i zbadać teren, na którym popełniono zbrodnię.

Uważał więc za stosowne zagrać teraz całkiem inną komedyę. Udał więc, że przebudził się ze snu, i krzyknął ostro na drżącą ze strachu Klausową, aby mu przygotowała coś ciepłego na kolacyę. Biedna kobieta pospieszyła czemprędzej spełnić jego rozkaz i po chwili w korytarzyku, który zastępował kuchnię, rozległ się brzęk garnków i rondli.

Klaus prawdopodobnie zapomniał całkiem o grogu, który miał przynieść i Archer był panem sytuacyi. Bez szelestu podniósł się z kanapy i na palcach podszedł ku drzwiom, które już od dłuższego czasu obserwował, a które powinny były prowadzić w głąb domu. Były one zamknięte, lecz klucz tkwił w zamku i Amerykanin zdołał otworzyć je bez najmniejszego hałasu.

W tej chwili owionęło go zimne, wilgotne powietrze, ale ciemności, rozpościerające się za drzwiami, nie pozwoliły mu zoryentować się, co za droga prowadzi dalej. Archer postanowił bądź co bądź zbadać tę tajemnicę i wyciągnąwszy naprzód ramiona, począł się posuwać po omacku. Niebawem poznał też, że znajduje się w wąskim korytarzyku, tak, że wyciągnąwszy w bok obie ręce, mógł oprzeć się niemi o obie ściany. Gdzie tylko dotknął się tam mur był mokry i oślizgły, a coraz silniejszy prąd chłodnego powietrza dowodził, że korytarzyk ten kończył się wyjściem na otwarte pole. Naraz natrafił na przeszkodę, która wstrzymała go w dalszej wyprawie. Archer zdołał wyczuć rękami, że są to szerokie drewniane drzwi, zamknięte na potężną żelazną zasuwę. To mu już wystarczyło; dalej nie miał czego szukać, bo teraz wiedział, że Klaus mógł ekspedyować trupa Springera tą drogą i nie potrzebował wcale zwracać na siebie uwagi gości, siedzących w szynkowni.

Szybko więc cofnął się z powrotem, znów zamknął drzwi na klucz i położył się na kanapie. W chwilę później weszła do pokoju Klausowa i przyniosła kolacyę. Archer udał, że wejście jej zbudziło go, zaklął wściekle, oświadczył, że stracił już apetyt, rzucił jej dolara na stół i zabrał się do wyjścia.

Gdy wszedł do szynkowni, Klaus zdziwiony posieszył ku niemu i starał się go zatrzymać, ale Amerykanin odparł gburowato, że hałas w szynkowni spać mu nie daje i że dlatego woli pójść do swego hotelu. I ciężko dysząc, jak pijany, wyszedł z hałasem na ulicę.

Przy pomocy planu, który przezornie wziął ze sobą, zdołał teraz odszukać uliczkę, na którą wychodził tajemny przechód z gospody Klausa. Przytykała ona do samej przystani, ale do najbardziej opuszczonej jej części. Prócz kilku rozsypujących się w gruzy magazynów, paru zapadłych w ziemię domków, prawie niezamieszkałych, było to zresztą kompletne pustkowie. Kto miał choć trochę sprytu i zmysłu spostrzegawczego, ten odrazu mógł wpaść na domysł, w jaki sposób zamordowano Rudolfa Springera i jak potem nadano zbrodni powierzchowne cechy nieszczęśliwego wypadku.

Swoją drogą nie można było pojąć, w jaki sposób zwabiono do tej pułapki przezornego Amerykanina, ale to nie zmieniało postaci rzeczy, ani też nie wpływało na osłabienie owych danych, które młody Amerykanin zdołał zebrać w tak krótkim czasie.

Bez żadnych trudności zdołał on wyszukać sobie z całego chaosu bram i drzwiczek ową furtkę, która łączyła nadbrzeżne pustkowie z gospodą Stefana Klausa, wbił sobie dobrze w pamięć całą tę okolicę i z zadowoleniem wewnętrznem powrócił do hotelu, myśląc, co powie komisarz Berman na jego nowe odkrycia.

A w hotelu zastał już grzeczny list od komisarza z zaproszeniem, aby nazajutrz o jedenastej rano pofatygował się do jego biura, gdzie ułożą sobie dalszy plan postępowania.

W lisiej jamie.

Komisarz przyjął młodego Amerykanina w bardzo uprzedzający sposób i uwiadomił go, że dyrektor policyi polecił wznowienie śledztwa, a zarazem sam go wydelegował do tej czynności. Prokuratorya też została powiadomioną o tym wypadku, a choć wprawdzie przy obecnym stanie rzeczy wkroczyć nie może, to jednak zajmie się gorliwie całą sprawą, gdy ponowne śledztwo da jakieś pozytywne rezultaty.

— Widzi pan zatem — dodał komisarz Berman na końcu — że pańskie zabiegi zostały uwieńczone pomyślnym skutkiem! A teraz powiedz pan, czy mogę liczyć na pańską pomoc?

(Ciąg dalszy nastąpi)

LUDWIK STASIAK.

Łaźnie dla robotników.

Pismo ze zarządu skarbowego wprowadziło nas w entuzyazm. Nasza osada górnicza nie miała wcale łazienek, dziś skarb pozwala na ich budowę, wyznacza na urządzenie kąpiel wysokie fundusze. Raz nareszcie stanie się zadość wymogom czystości i hygieny.

Jako budowniczy gwarectwa wziąłem się natychmiast do roboty. Praca trwała całe lato. Gdy gmach już stał, zwołałem na posiedzenie mieszkających na miejscu współwłaścicieli kopalni — akcyonaryuszy, zaprosiłem cały personal urzędniczy.

— Jestem zdania, że należy urządzić wykwintne łaźnie. Wanny miedziane.

— Wolałbym porcelanowe.

— Tak jest. Lepsze są porcelanowe. Czyściej wyglądają; kąpiący się z przyjemnością wchodzi do białej, jak śnieg, wanny.

— Dla pań osobno, dla mężczyzn osobno.

— Dlaczego osobno? A co będzie, jeżeli przyjdzie mąż z żoną do kąpieli?

— Nie przyjdzie mąż z żoną. Bo w każdej celi łaziennej będzie tylko jedna wanna.

— Nie zgadzam się na to. We wszystkich łaźniach, jakie widziałem, są tak wanny pojedyncze, jak wanny podwójne.

— Oczywiście. Porobić część cel z jedną wanną. A te ostatnie właśnie na ten wypadek, jeśli się przyjdzie kąpać mąż z żoną...

— No, a jak mąż przyjdzie nie z żoną?

— To się go nie wpuści.

— Zrobi się taki regulamin, że każdy musi przyjść z metryką ślubu.

— Dobrze! Musi się wylegitymować, że to jego żona. Łaziennemu metrykę pokazać.

— No... a na łaziennego przyjmiemy jakiego analfabetę...

— Żarty! Na bok żart! Mówmy na seryo.

— Mówmy!

— Trzeba się zastanowić nad regulaminem. Jestem zdania, że kąpać się można codzień, tak w dzień powszedni, jak w niedzielę.

— W niedzielę napcha się do łaźni ciżba robotników...

— Robotników? Jakich robotników?

— No! Górników. Czytałeś pan skrypt? Zarząd skarbowy wyraźnie pisze, że to ma być łaźnia górnicka.

„Łaźnia górnicka“ tu jest napisane.

Nastała długa cisza.

— A więc to łaźnie nie dla klas inteligentnych, to łaźnia ludowa.

— Dla pospólstwa?

Znowu milczenie. Zwróciłem się do kierownika pisma robotniczego.

— Cóż o pan o tem sądzisz, panie redaktorze?

— Co ja sądzę? Sądzę, że robotnik ma prawo do łaźni, jak i my.

— Oczywiście. My wszyscy tak sądzimy. Czy on co gorszego? Równość przedewszystkiem...

— Nie o równości teraz mowa, lecz o łaźni. Ja się pytam, panie redaktorze, czy pan jadasz w kuchni ludowej, czy pan bywasz w kawiarni pod kotem, czy pan się kąpiesz w łaźni ludowej?

— Te...

— Jadasz pan pod kotem, czy pan nie jadasz?!

— Co prawda, to nie. Panowie się nie powinniście temu dziwić. Inne mam wymagania, inne potrzeby.

— Widzisz pan...

— Jabym panom powiedział... Czy jesteście *entre nous?*

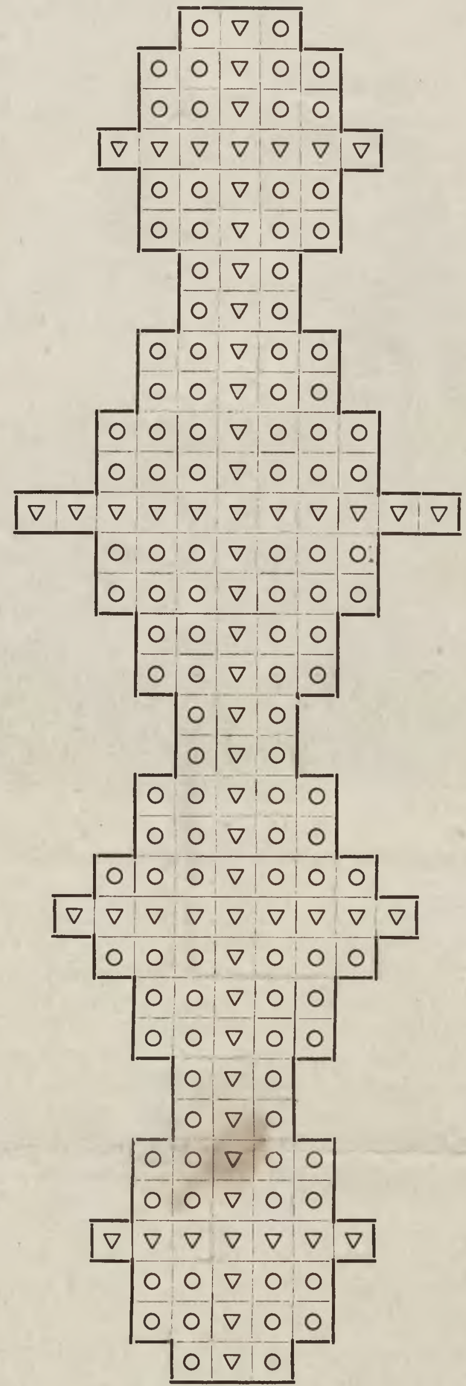
(Dokończenie nastąpi).

Zagadki do nagrody.

Szarada.

Sylab wszystkich razem cztery:
Pierwsza — nazwą jest litery
Druga z rzędu opowiada
Ze ktoś własność swą posiada,
Małe słówko — ważnej treści
W gramatyce zaś się mieści.
Ton muzyczny — *czwarta* sama
Ma ją zatem każda gama;
Pierwsze, trzecie — kto zasłuży
Niechże już nie błądzi dłużej!
Drugie, trzecie — wóz z paradą
Nieboszczyków na to kładą,
Zwyczaj przestrzegany święcie
Zwłaszcza w starym testamencie.
Drugie trzecie z czwartem razem
Pieszczotliwym jest wyrazem,
To kochanki wieszcza imię
Co ją uczcił w swoim rymie.
Czwarte, drugie — nazwa znana
Ofiarnika i kapłana,
Lecz go u nas nie znajdziecie
Ma pustelnie swą w Tybecie,
W dzikich górach, w głębiach boru...
Całość — to stronnictwo dworu
Nie brak na to zaś dowodu,
Że jest wrogiem dla narodu.

Zagadka.



Znaczenie wyrazów.

1. Rzeka w Tyrolu,
2. Wydrążenie w skale,
3. Wzgórze dla każdego Polaka drogie,
4 Pierwsza część nazwy pewnego polskiego pisma tygodniowego,
5. Drzewo szpilkowe,
6. Naczelnik plemienia dzikich.
7. Rzeka w Egipcie,
8. Ryba,
9. Miasto na Litwie,
10. Dowódzca oddziału polskiego w r. 1863,
11. Znany powieściopisarz rosyjski,
12. Imię kobiece,
13. Druga część nazwy pewnego polskiego pisma tygodniowego,
14. Miasto w Syberyi,
15. Miasto w Galicyi zachodniej,
16. Wejście do budowli itp.
17. Owoc zwany także figą rajską,
18. Wódz Polak sławny z kampanii węgierskiej 1848.
19. Krzew z rodzaju wierzb,
20. Nazwa bardzo sympatycznego stowarzyszenia,
21. Ptak,
22. Nazwa zdrobniała zwierzęcia raciczkowego, hodowanego,
23. Nazwa miejcowości, w której powyżej pomienione pismo wychodzi,
24. Nazwisko najstarszego historyka greckiego,
25. Owoc,
26. Rzeczpospolita na zachodniem wybrzeżu Ameryki południowej,
27. Zaimek wskazujący,
28. Płyn wodnisty, ałunowy, wydzielony przez pewne gruczoły, w bólu, smutku a nawet w radości,
29 Rzeka w Galicyi,
30. Chłop rosyjski,
31. Nazwa ulicy przy której się znajduje administracya powyżej wspomnianego pisma.
32. Pierwiastek chemiczny,
33. Regula ny żołnierz turecki,
34. Roślina.

Zadanie.

Kółeczka i trójkąciki należy zastąpić literami w ten sposób, ażeby środkowe litery oznaczone trójkącikami, czytane z góry na dół, jakoteż w rzędach 4, 13, 23, i 31 miejsca trójkącikami oznaczone, czytane w linii poziomej utworzyły nazwę pisma tygodniowego, miejscowości i ulicy, gdzie takowe jest wydawane.

Dla ułatwienia rozwiązania zadania, podaje się poniżej zgłoski, z których należy poskładać wyrazy: ar, ba, ba, bem, bolsk, bra, cap, chi, ci, cyk, doł, gro, han, he, i, ilu, inn, ju, ka, ha, ka, ke, ko, kół, kra, len, li, lin, łza, ma, na, na, nan, ne, nek, ni, nil, no, no, ra, ro, ści, sen, ska, ska, sna, so, so, stoj, stro, struś, sty, sze, ta, ten, to, roł, w, wa, wa, wa, wel, wi, wie, wil, wo, won, za, zam.

Jako nagrodę za rozwiązanie wszystkich powyższych, przeznaczamy **2 funty herbatników z cukierni lwowskiej Michalika.**

Rozwiązania z Nru 53.

Szarada.

BOŻE NARODZENIE.

Arytmogryf.

G
E w a
K m i t a
N o g a j s k
Z a k r z ó w e k
K o z a k d o ń s k i
K n a k e Z a w a d z k i
S a m u e l Z b o r o w s k i
G w i a z d a B e t l e e m s k a
K u r o k i l t o K o d a m a
W e s e l e l e g e n d a
N o w a R e f o r m a
L i n i e w i c z
Z y g m u n t
W i s ł a
O k u
a

Gwiazda Betleemska.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp.: Kółko tow. „Sokoła“ Horodenka, E. Füllerówna Rzeszów, F. Swarzyński Sosnów, T. Pietrzkiewicz Miżyniec, A. Huzarowa Byczkowce, Lapon Czechowice, J. Kottas, H. Negruszowa Brody, L. Janiec Buczacz, W. Cellerin, G. Krasuski Winniki, J. Kobylański Honiatycze, J. Biegoń Slemień, T. Wasiewiczowa Baranów, J. Bazylewicz Jaktorów, K. Biliński Szarpańce, A. Pietrzycka Bolechów, P. Niebrzydowski Krosienko, J. Sarama Milówka, S. Waśniewski Kossów, J. Talaga Stale, E. Kucharska Majdan, H. Leligdowicz Fraga, K. Chodkiewicz Zbydniów, Fr. Zaczek Dziedzice, G. Hołubowicz Borysław, J. Gawenda Słotwina, A. Szczurowicz Krzemienna, J. Bursa Brzostek, T. Filipow Czerniejów, W. Koczaj Sędziszów, K. Kruczyński Żywiec, J. Augustynowicz Żywiec, F. Ślisz Lubenia, St. Bursa Kossów, A. Janowski Bóbrka, T. Cyprian Borszczów, M. Różański Gorlice, A. Bassara Niwiska, J. Klimsza Szumbark, C. Komar Uście N. Pr., K. Fuchs Peczeniżyn, Ks. J. Rejtarowski Kaczanówka, J. Grabowski Nowytarg, K. Wojdyłło Węgierka, abonent z Dług. St. Mroczkowski Karalowy, W. Stanula Samocice, Dr. J. Krudzielski, J. Ganz Nowy Sącz, Ig. Stawarski Jaworów, Fr. Zawartka Brzesko, J. Duszyński Niepołomice, St. Staśko Dębniki, M. Pachucki Waksmund, St. Cyran Jasło, Dr. J. Gla Rok Wieliczka, J. Czader Stara wieś, W. Chrząszczowa Kraków, M. Wyczółkowska Zielina, W. Czechowski Tarnów, A. Knopfówna Lwów, J. Badura Rożdzień, W. Remiszewski Załawie, Dobrzyniecki Stanisławów, A. Głownia Krzeszowice, Lachowski Drohobycz, P. Olszewski Niemirów, F. Zacharski Kraków, St. Morawski Bilinka, St. Szwabowicz Żurawno, M. Bossowska Bistoszowa, K. Jaworski Zwierzyniec, H. Zielińska Manajów, W. Kamiański Sokal, St. Stępień Tarnopol, M. Arbesbauer Lwów, A. Zimer Mikulińce, Sławiński Wierzchosławice, K Jurkiewicz Tłumacz, J. Pasieka Łuka mała, A. Jędrusiakowa Binarowa, T. Domain Sanok, A. Gerstmann Dobrostany, H. Dydacka Żurawno, Wł. Gizowski Krynica, Ks. S Suski Brzezie, M. J. Barańscy Lwów, M, Bielecka Synowódzko W., K. Weinar Przemyśl, Ks. A. Majewicz Rzepiennik biskupi. Tow. „Zgoda“ Krosno, St, Kozłowski Lubaczów, M. Cetera Dubiecko, G. Fuchsbalg Lwów, J. Bielawski Brzeżany, M. Sędzimirowa Kraków, J. Zawiślak Wiśniowczyk, A. Markowski Przemyśl, K, Gajdeczka Zapałów, T. Podoski Warszawa, J. Zehnwirth Klimkówka, Wł. Nowiccy Wiśnicz, S. Samueli Limanowa, Al Bocsoń Bóbrka, M. Opolska Czarny Dunajec, B, Ramułtowa Jeżów, L. Baranowski Kraków, Br. Kazik Rzeszów, M, Bernadzki Kołomyja, R. Żabka Biała, Wł. Swolkień Kraków, W. Drożdziewicz Kołomyja, B. Meszyński Drohobycz. St. Zarzecki Kraków, A. Knapińska Kraków, Dr. Aydukiewicz Ropczyce, M. Petrykowa Kory, Wł Jasiński Żywiec, M. K. Kraków, J. Rodakowska Kulików, M. Rademesser Swoszowice, Fr. Kalita Gawłuszowice, F. Jeleński Nowytarg, A. Krokoszyński Lwów, J. Maniecki Nawojowa, A. Sanetra, A. Miłkowski Bełz, H. Mokrzycka Turbia, Zd. D. Brzeziński, Ig. Rosenstock Kraków, A. Bogdalska Koropuż, Br. Weissmanówna Limanowa, H. Ulrych Malin, Ks. J. Markiewicz Kolbuszowa, Wł. Źralski Podgórze, J. Ramoszyńska Borysław, J. Terech Wola michowa, J. Reczyński, K. Tarkowski Przegorzały, Stadnik Grabiny, L Fortuna Kenty, H. Szczerbowa Majdan, St. Karłowicz Lwów, F. Angielczykowski Lubaczów, A. Starczewski Ottynia, W. Wierzbicki Czarny Dunajec, A. Sałacki Dobczyce, Z. Ciechanowska Stary Sambor, Wł. Zabierowski Gorlice, M. Galica Zakopane, K. Radwański Nowy Sącz, A. Surowiecki Kraków, Kuszpeciński Kraków, J. Kuczericzka Hladki, J. Świerczewska Lwów, H. Andrysik Dąb, J. Cholewiński Kraków, Cichewski Maryan Kraków, H. Psarska Tarnów, E, Kulig Zakopane, K Ludwig Borysław, A. Boroń Also Kubin, Stan. Mika Nowy Sącz, H. Plechawska Stanisławów, J. Booss, Żółtańce, F. Dancewicz Porchowa, O. Rudawski Putiatyńce, W. Karatnicki Worochta, A. Popiel Buczacz, W. Hałdziński Lichwin, Z. Ziembowicz Mikołajów, W. Czaykowski Dolina. Tow. Kasynowe Horodenka. E. Illukiewicz Sambor, K. Jasiński Sambor, R. z Ł, A. Batko Kraków.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. Maryan Ciohowski w Krakowie. Nagrodą jest powieść p. t. *„Wielki Król Patacake“.*